ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 6-7(43-44) • Czerwiec-Lipiec 2009 • Cena 2,00 zł

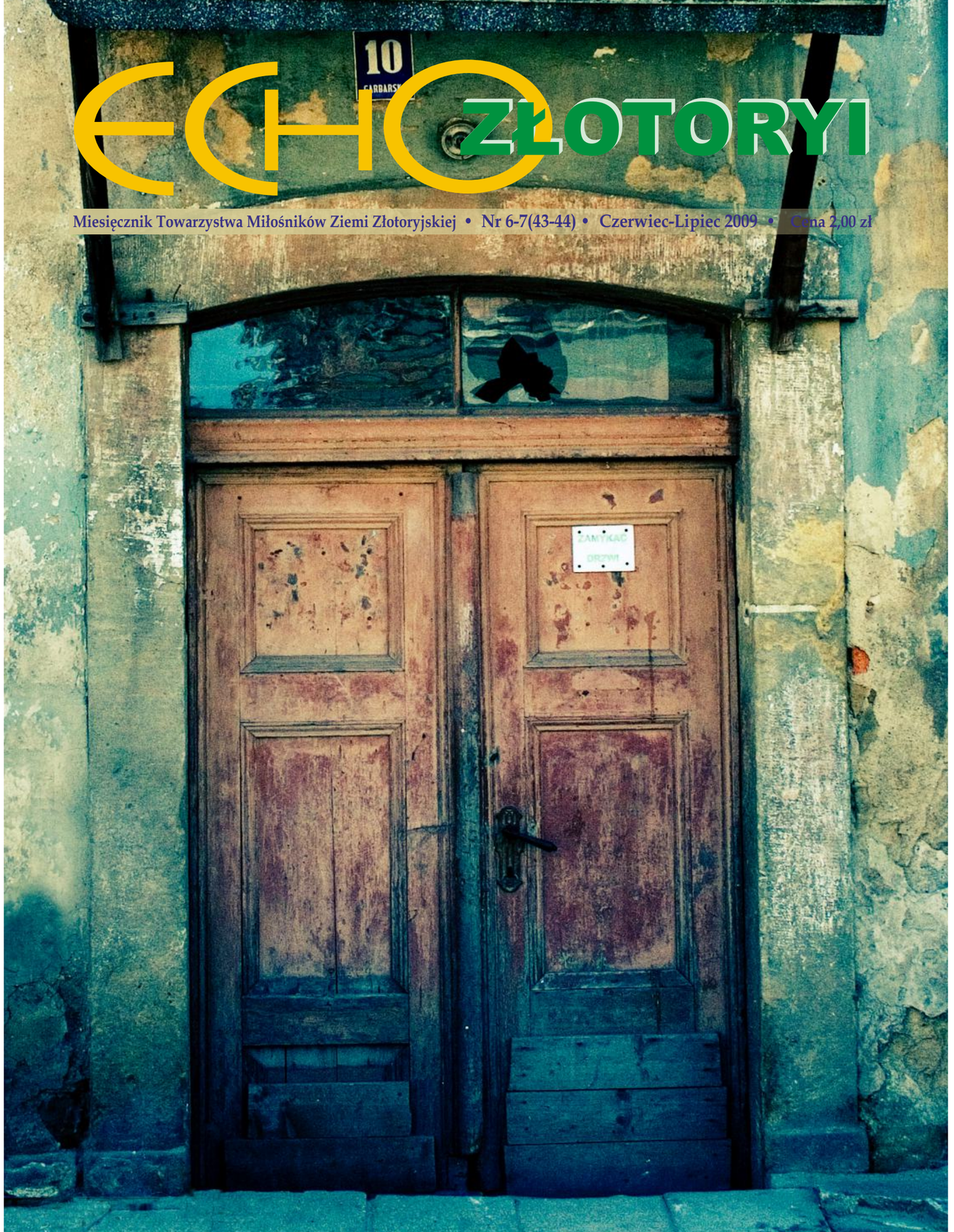

„Goldberg - meine kleine Heimat”...

Przez całe moje życie wpajano mi, że ziemia, na której się wychowałem, i na której mieszkam, była, jest i będzie polska. Czyniono to na różne sposoby, często przemilczając to, co niewygodne. Coraz częściej jednak wydobywa się z zakamarków prawdę historyczną, którą w żartobliwy sposób przedstawił mi kiedyś pan Herbert Helmrich (EZ 5/2007), stwierdzając, że Piastowie zaprosili Niemców na te ziemie jako gastarbeiterów, którzy pracowali tutaj 750 lat, po czym zostali odesłani z powrotem do domu. Głośno mówi się o „wypędzonych” a ziemie odzyskane nazywa się ziemiami uzyskanymi. Nie zmienia to jednak faktu, że Złotoryja – moja mała ojczyzna, jest miastem polskim i, o ile nie zdarzy się jakiś kataklizm – takim pozostanie. Dlatego z dużym zaskoczeniem przeczytałem na plakacie informującym o imprezach z okazji „Dni Złotoryi”, że w Szkole Podstawowej nr 1 miał odbyć się (i zapewne się odbył) „Miejski Konkurs wiedzy o Złotoryi” dla klas IV – VI pod nazwą „Goldberg – meine kleine Heimat” Rozumiem: wspólna Europa. Rozumiem: wybaczamy i prosimy o wybaczenie. Są jednak pewne granice, których chyba nie powinno się przekraczać. Nie podejrzewam pomysłodawcy o złą wolę, czy skrywany rewizjonizm, a jedynie o brak wyobraźni. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, aby we Lwowie a nawet w Wilnie (w którym do tej pory mieszka prawie 20% Polaków) można było w analogiczny sposób nazwać konkurs dla młodzieży szkolnej.

Może nie mam racji. Może jestem nazbyt przeczulony. Niemniej, gdy ujrzałem zwiastun konkursu po raz pierwszy - zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Pozostaje tylko wierzyć, że był to wypadek przy pracy...

Wypadkiem przy pracy natomiast nie można nazwać kolejnych „Dni Złotoryi”, które coraz bardziej przypominają jakąś karykaturalną formę święta piwa. Wprawdzie imprezy z trudem pomieściły się na dużym plakacie, ale zdecydowana ich większość skryła się w kameralnych zakątkach naszego miasta, natomiast główne akcenty tradycyjnie zostały wygnane nad zalew. Prześladuje mnie nieodparte wrażenie, że całość jest od wielu lat podporządkowana zawodom w płukaniu złota. Oczywiście złoto, jako bardzo medialny kruszec, był, jest i powinien być motorem napędowym imprez w naszym mieście, magnesem ściągającym tutaj turystów. Ale czy wszystko ma się ograniczać jedynie do zawodów w znajdowaniu żółtych okruchów? Czy lwóweckie „Agatowe lato” jest tylko świętem dla zbieraczy szlachetnych kamieni? Jaworskie „Dni chleba” – imprezą dla piekarzy? I nie chodzi tutaj o wyciągnięcie jeszcze większych pieniędzy z kasy miejskiej, żeby ludowi urządzić bardziej widowiskowe igrzyska, podczas których poleje się jeszcze więcej piwa. Chodzi o to, by „Dni Złotoryi” stały się rzeczywistym świętem miasta, świętem, które ściągnie turystów i to nie tylko nad ciasny zalew. Może warto wreszcie pomyśleć nad wielkim kiermaszem w centrum miasta, którego motywem przewodnim stałyby się np. wyroby jubilerskie lub szerzej – ozdoby? Może udałoby się namówić teatry amatorskie do wystawienia na ulicach miasta sztuk historycznych? Nie trzeba wymyślać scenariuszy imprez od podstaw, wystarczy podpatrzeć, czy zainspirować się tym, co dzieje się w innych miastach. Każda miejscowość korzysta z nawet najmniejszej możliwości, aby się promować. Żeby jednak czynić to skutecznie, trzeba zejść z utartego szlaku. Ktoś powie: następne „Dni Złotoryi” będą dopiero za rok... One będą już za rok! A już za dwa lata będzie całoroczne święto naszego miasta – pierwszego, które na ziemiach polskich uzyskało prawa miejskie. Czy 800-lecie Złotoryi też ma się ograniczyć do zawodów dla poszukiwaczy złota? Przez całe moje życie wpajano mi, że ziemia, na której się wychowałem, i na której mieszkam, jest moją małą ojczyzną, i dlatego czuję się za nią odpowiedzialny i chciałbym, aby tętniła życiem, by była atrakcyjna dla mieszkańców i gościła jak najwięcej spragnionych pozytywnych wrażeń turystów.

Robert Pawłowski

Etnolog znad Kaczawy

Michał Rydlewski, urodzony w 1983 roku, absolwent Szkoły Podstawowej nr 1 oraz Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi, magister etnologii (Uniwersytet Warszawski), doktorant w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Przez wiele lat mieszkałeś w Złotoryi. Prosimy o jakieś wspomnienia i skojarzenia z tego okresu, łącznie z maturą.

Tak naprawdę, wspomnienia z tego okresu przyszły do mnie, kiedy przyjechała do Złotoryi moja dziewczyna, która jest Rumunką. Nie bardzo potrafiłem zrozumieć jej estetyczny zachwyt nad znanymi sobie miejscami. Ona widziała je inaczej niż ja. Dla mnie wszystko wiązało się z jakąś historią, miało znaczenie biograficzne. Nie było spojrzeniem turysty. W pewnym momencie zacząłem jej opowiadać, co kilkanaście lat temu działo się w określonych miejscach. Wtedy tak naprawdę uświadomiłem sobie, że można mieszkać w wielu miejscach na świecie, ale droga do szkoły jest niepowtarzalna. W tym sensie lokalność jest sprawą do odkrycia, słowem - trzeba wyjechać poza swój oswojony świat, albo przywieść kogoś spoza tego świata, ażeby dostrzec, skąd się jest, to znaczy po trosze odkryć, kim się jest.

Wiele moich wspomnień łączy się z grupą przyjaciół ze szkoły podstawowej, Pawłem Adamcem, Łukaszem Mileszką, Szymonem Kwapińskim i Błażejem Prusem. Są historie, które pamiętamy do dzisiaj: klasowe ogniska na Wilczej Górze, międzyklasowe mecze piłki nożnej na szkolnym boisku, kilka incydentów związanych ze stratami materialnymi Szkoły Podstawowej nr 1, wszechstronne lekcje z Panem Zbigniewem Konikiewiczem, dobry wpływ naszej wychowawczyni Pani Kawki, a potem Pani Kozłowskiej. To są sprawy, których się nie zapomina...

Z Liceum najcieplej wspominam Wigilie klasowe, grę Janka Smolarczyka na akordeonie, cierpliwość Michała Banasiewicza do tłumaczenia mi matematyki, słowne gry na lekcjach języka polskiego, „opiekę” (niech cudzysłów powie za siebie) wraz z Mariuszem Grzywą nad zwierzętami w klasie biologicznej. Kilka takich historii można znaleźć w portalu nasza-klasa. Bardzo ciepło wspominam Pana Karola Łąka. Wydaje mi się, że stanowiliśmy wesołą klasę, która zapadła w pamięć nauczycielom.

Co do matury, to nie wspominam jej źle. Cieszę się, że miałem jeszcze możliwość zdawania „starej matury”, która w przeciwieństwie do „nowej” dawała możliwość osobistej perspektywy. Dzisiaj chyba nie potrafiłbym „trafić” w klucz. Zdawałem z języka polskiego, historii oraz języka angielskiego. Z tych przedmiotów czułem się pewnie, chociaż stres był nieunikniony. Pamiętam bardzo dobrze dzień, w którym zostały ogłoszone ostatnie wyniki (chyba z ustnej historii). Byłem szczęśliwy, że to koniec, także pobytu w Liceum. Bardzo chciałem już zacząć studia, czekałem na wyjazd ze Złotoryi.

Czy można być dumnym, że pochodzi się z takiej "prowincjonalnej" Złotoryi?

Myślę, że tak. Dla mnie najważniejsze wydaje się, że prowincjonalność, o której Pan mówi, jest pewną perspektywą. Jeśli wziąć pod uwagę sukcesy złotoryjskich sportowców (akrobatów, tenisistów), to Złotoryja wcale nie wydaje się pozostawać na peryferiach, nawet w skali światowej. W dyskursie politycznym, edukacyjnym, ekonomicznym, rozrywkowym, polskie centrum faktycznie stanowi Warszawa. Każdy, kto dłużej pomieszka w stolicy, odczuwa to bycie w centrum. Nie ma w tym nic złego, spędziłem w stolicy dwa lat i mam dla niej wiele sympatii. Chodzi jedynie o pewną proporcję. Słowem, nie jest tak, że Uniwersytet Warszawski jest najlepszy (może z nim bez obaw konkurować Uniwersytet im. Adam Mickiewicza w Poznaniu). Na tym uniwersytecie na Wydziale Dziennikarstwa prowadził autorskie warsztaty Mariusz Szczygieł, jeden z najciekawszych polskich dziennikarzy, z pochodzenia złotoryjanin. W tym sensie centrum żyje siłą peryferii, pozwala peryferiom dojść do głosu. Może warto to warszawskie centrum, w dużej mierze zawdzięczające swoją siłę mediom, nieco osłabić? Coraz bardziej zaznacza się lokalność (dobrym przykładem jest Poznań, Kraków czy Wrocław), która może stanowić przeciwwagę dla zawłaszczającego centrum, kreować inną, niż warszawska atmosfera. I nie chodzi tylko o pieniądze, wystarczy spędzić trochę czasu w Toruniu, czy Lublinie, żeby poczuć kameralność i brak pośpiechu. Zdrowe poczucie dumy z miejsca pochodzenia wpisuje się w ten proces budowania „małych ojczyzn”.

Jako kierunek studiów wybrałeś etnologię. To zapewne dla wielu całkiem egzotyczny kierunek. Co to jest etnologia,, czym zajmuje się etnolog? Dlaczego wybrałeś właśnie takie studia?

W szkole średniej najbardziej interesowała mnie historia. Dużo czytałem o mentalności, obyczajach na przestrzeni dziejów. To wydawało mi się ciekawsze niż wiedza podręcznikowa (uważam z resztą, że program nauczania historii jest nudny i nie dopasowany do europejskich i kulturowych realiów). Dopiero w klasie maturalnej zetknąłem się z etnologią. Od razu moją sympatię wzbudziło zdanie, że w ramach tych studiów można zajmować się wieloma rzeczami. To prawda, różnorodność jest chyba największą zaletą tego kierunku w porównaniu z innymi.

Etnologia, zwana także antropologią społeczną lub kulturową, bierze swój początek od badań nad tak zwanymi społecznościami pierwotnymi. Dla ustalenia się naukowych standardów dyscypliny (na przykład długi pobyt na danym terenie) ważną rolę odegrał polski antropolog Bronisław Malinowski. Na podstawie opisów dalekich lądów i obyczajów inne niż nasze, sformułowano antropologiczny model kultury. Etnologia jest więc porównawczą nauką o kulturze.

Moim zdaniem, największą korzyścią płynącą ze studiowania etnologii, jest uświadomienie sobie, że nie tylko „oni” są dziwni, ale „my” także. Kiedy etnologowie zaczęli przyglądać się swojej własnej, europejskiej kulturze, okazało się, że my również jesteśmy egzotyczni. Etnologia w tym sensie pozwala przejrzeć się swojej europejskości. Słowem, możemy i różnimy się co do wielu kwestii, ale nikt z nas-Europejczyków, nie będzie pochwalał gwałtu jako sposobu na zdobycie żony.

Dzisiaj etnologowie zajmują się właściwie wszystkim, bo wszystko w ich optyce jest uwarunkowane kulturowo, począwszy od badań wpływu globalizacji na społeczności lokalne po zachowania w korporacjach. Najwłaściwsze będzie samodzielne odwiedzenie uniwersyteckich stron instytutów etnologii, przegląd konkretnych programów studiów czy tytułów prac magisterskich.

Trochę boję się zapytać, co etnolog ma do powiedzenia o takiej niewielkiej miejscowości jak Złotoryja? Da się ją jakoś etnologicznie opisać?

Polska tradycja etnograficzna była ukierunkowana na badanie wspólnot lokalnych, przede wszystkim wiejskich. Tak w dużej mierze pozostało do dzisiaj. Problem w tym, że nie jesteśmy już „tutejszymi” z „Konopielki” E. Redlińskiego. Współczesna lokalność nie jest już tak silna jak kiedyś. Na jej rozmycie miało wpływ wiele procesów kulturowych (na przykład globalizacja). Złotoryja nie jest tu wyjątkiem. Rozmyła się pewna lokalna sfera wartości, z którymi moglibyśmy się identyfikować. Widzimy siebie w ramach wspólnoty narodowej czy europejskiej (jest to dobrze widoczne w polskiej polityce).

Poczucie złotoryjskiej lokalności staje się w coraz większym stopniu zindywidualizowane (bardzo ważna jest kwestia pamięci), jest sprawą wyboru. Z drugiej strony nie jest też chyba tak, żeby zupełnie owa lokalność przestała istnieć. Trzeba ją jednak na nowo konstruować poprzez tak zwany „powrót do tradycji”, czego dobrym przykładem są corocznie organizowane imprezy typu „Dymarki Kaczawskie” czy „Mistrzostwa Polski w Płukaniu Złota”.

Dla mnie, jako mającego za sobą doświadczenie migracyjne, ważna jest mobilność młodych złotoryjan, którzy wyjechali w celach zarobkowych za granicę (głównie na Wyspy Brytyjskie). Portal „nasza- klasa” jest dobrym źródłem informacji. Rozmowy z nimi mogłyby pokazać, na ile (jeśli w ogóle) i jak identyfikują się ze swoim miejscem urodzenia i dorastania. Myślę, że to byłby dobry temat dla etnologa.

Czy etnolog miałby w ogóle "coś do roboty" w Złotoryi?

Studia etnologiczne dają dużo wolności w wyborze swojej drogi, co oznacza, że trzeba poszukiwać pomysłu na wykorzystanie swojej wiedzy. To studia dla ludzi kreatywnych, otwartych, z głową pełną pomysłów. Największy sukces osiągają ci, którzy potrafią rozpoznać swoją drogę i konsekwentnie jej się trzymać. Wiele moich Koleżanek i Kolegów pracuje w telewizji, gazetach, agencjach reklamowych, muzeach, ośrodkach dla uchodźców, domach kultury, urzędach miasta, gdzie zajmują się promocją lub pozyskują fundusze na działalność kulturalną, kilka osób prowadzi warsztaty z edukacji wielokulturowej. Wiem, że świetnie dają sobie radę. Co do Złotoryi, to sprawa ma się podobnie. Zapotrzebowanie na etnologów będzie coraz większe, wraz ze wzrostem napływu do Polski innych narodowości.

Obserwujesz życie wyższych uczelni. Pamiętam, że w jednej z naszych wcześniejszych rozmów zastanawialiśmy się, czy jeszcze istnieje "etos" szkoły wyższej i stwierdziliśmy, że już trudno o relacje mistrz-uczeń czy satysfakcję ze studiowania. Czy podzielasz te opinie? A może nie jest tak źle?

Na jednej z naukowych konferencji, której byłem uczestnikiem, wygłosiłem referat pod tytułem „Przestrzenie kultury studenckiej, czyli co nam zostało z tamtych lat?”, który był historycznym opisem działalności kabaretów, takich jak „Bim – Bom” (warto zobaczyć film pod tytułem „Do widzenia, do jutra” ze Zbigniewem Cybulskim, by poczuć atmosferę studenckich piwnic) oraz Studencki Teatr Satyryków (filmowa etiuda Agnieszki Osieckiej „STS” znakomicie oddaje ironiczną grę z cenzurą) oraz warszawskich klubów studenckich takich jak „Kwant”, „Riwiera”,

„Remont”, „Sigma” i bardziej znane „Hybrydy” i „Stodoła”. W historii tych miejsc znakomicie można uchwycić przemiany stylu życia studentów, które były wypadkową wielu procesów o charakterze kulturowym (upadek komunizmu, komercjalizacja). Dzisiejszy charakter klubów studenckich (które kiedyś stanowiły awangardę kulturalną) określa kultura popularna, która co by nie mówić, jawnie kłóci się z inteligenckim etosem szkół wyższych.

W historii tych miejsc, jak w zwierciadle przegląda się kondycja polskiego szkolnictwa wyższego, w którym ilość nie pociąga za sobą jakości, co jest po prostu wynikiem szerokiego dostępu do edukacji, procesu przecież jak najbardziej pozytywnego. Warto mieć świadomość, że kwestia ta dotyczy nie tylko życiowego epizodu, ale całych pokoleń elit intelektualnych naszego kraju. Wiedza to coś więcej niż towar.

Relację mistrz – uczeń po prostu coraz ciężej utrzymać w takich warunkach. Na szczęście nie jest jednak tak, żeby zupełnie się ona rozmyła. Jestem tego dobrym przykładem. Zawsze miałem poczucie elitarności moich studiów, miałem kontakt z wybitnymi intelektualistami, zarówno w Toruniu jak i Warszawie. Liczne konferencje, których byłem uczestnikiem, pozwoliły mi poznać wiele osób z innych ośrodków, elitę swojego środowiska Doceniam wysiłek swoich wykładowców, którzy poświęcali nam-studentom prywatny czas, często kosztem życia rodzinnego. Szczególnie w Toruniu spotkałem wiele osób, które zawsze mnie wspierały. Pani Profesor I. Kabzińska była (i jest) dobrym duchem moich studiów. Wiele jej zawdzięczam.

Jeśli zaś chodzi o studia doktoranckie, właściwie idea tych studiów opiera się na tej relacji. Seminaria z moim promotorem, prof. Andrzejem Szahajem, właściwie kilkuosobowe, uważam za nieocenione, albowiem pozwalają na intelektualną bliskość, stawianie nowych problemów, dyskusję.

Nadal jesteś pełen pasji, o czym świadczy praca nad doktoratem. Jakie wiążesz z nim nadzieje? Gdzie chciałbyś potem pracować? Nie przeraża Cię finansowa mizeria pracy na uczelni?

Doktorat pozwoli mi pracować na uczelni. Prowadzić swoje własne zajęcia dla studentów. Swoją przyszłość wiążę z Toruniem. Interdyscyplinarny charakter mojej pracy powoduje, że będę mógł prowadzić zajęcia w kilku miejscach (na etnologii, filozofii, socjologii).

Z finansami jest faktycznie problem. Ja mimo wszystko jestem w dobrej sytuacji, bo otrzymuję stypendium naukowe, przyznawane doktorantom na drodze konkursu. Jeśli doliczyć do tego uczestnictwo w grancie ministerialnym, to sytuacja nie wygląda tak źle. Wierzę, że potem będzie tylko lepiej.

Czy poleciłbyś absolwentom szkół średnich taką drogę kariery, jaką wybrałeś?

Nie wiem, co mógłbym polecić absolwentom szkół średnich, to jest zawsze sprawa indywidualna i nie ma chyba tutaj gotowego przepisu. Może to jedynie, żeby robili to, co naprawdę ich interesuje, żeby pod tym kątem wybierali przyszły kierunek studiów. Nie bali się zmian, jeśli dany kierunek okaże się nie tym, czego oczekiwali. Nie warto przejmować się retoryką, że wybór określonych studiów będzie determinował całe dalsze życie, a tak często wmawia się maturzystom. Z perspektywy akademickiej wygląda to trochę inaczej. Jest dla mnie sprawą oczywistą, że maturzyści maja zazwyczaj mgliste pojęcie o tym, jak wygląda studiowanie danego kierunku, co wynika z faktu, że szkoły średnie zaniedbują kontakt nie tylko z kadrą, ale i z młodzieżą akademicką, a ten jest bardziej potrzebny nie pogadanki w Urzędzie Pracy. Pod tym względem młodzież z miast akademickich jest uprzywilejowana. Poza tym, w ramach samego programu studiów, jest możliwość poszukiwania czegoś nowego, można zacząć drugi kierunek, część swoich studiów spędzić w innym ośrodku (program MOST) lub za granicą (program Sokrates-Erasmus). Rozwijać swoje pasje, nie ma lepszej recepty na sukces, jestem pewien. Wtedy wszystko to, czym się zajmujemy, nie jest przykrym obowiązkiem, lecz pracą dającą satysfakcję, daje poczucie sensu tego, co robimy, wtedy osiąga się najlepsze rezultaty, zarówno intelektualne i w wielu przypadkach, także finansowe.

Jeśli zawęzić to pytanie do złotoryjskich absolwentów szkół średnich, to powiem, że warto czasami mierzyć ponad cel, żeby do niego trafić. Będąc w szkole średniej, mając przeciętną średnią, Uniwersytet Warszawski uważałem za miejsce zupełnie niedostępne. Kiedy się tam znalazłem, nie miałem poczucia jakiegoś oczarowania. Jestem pewien, że dzięki swojej pracy i uporowi można studiować tam, gdzie się chce, nawet jeśli system edukacyjny (łącznie z nową maturą) to utrudnia. Zapewniam, że wielu wykładowców żałuje, że nie ma okazji porozmawiać z kandydatami osobiście. Wtedy odkrywa się predyspozycje, które umykają w testach wiedzy. Nie warto po prostu rezygnować ze swoich planów, nawet jeśli pierwsze podejście nie dało pożądanych rezultatów. Dobrą droga są konferencje naukowe, które dają możliwość szerszej współpracy, trzeba jednak wykazać inicjatywę.

Rozmawiał Roman Gorzkowski, zdjęcia z archiwum M. Rydlewskiego

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela “Bacalarus” - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Elżbieta Łukjańczuk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Zdjęcie na okładce: Drzwi wejściowe do kamienicy na ul. Garbarskiej (Wystawa „Złotoryjskie zaułki”) - fot. Tomasz Gilowski.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania oraz przeredagowywania nadesłanych tekstów.

Miesięcznik tworzony jest nakładem pracy społecznej, w związku z tym za publikacje nie jest wypłacane wynagrodzenie w jakiejkolwiek formie.

Warunki prenumeraty. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie, nadsyłając zamówienie na adres poczty internetowej redakcji oraz przesyłając na konto TMZZ (39 8658 0009 0000 0156 2000 0010) kwotę pieniędzy w wysokości odpowiadającej liczbie oraz sposobowi dostarczenia zamówionych egzemplarzy:

I - prenumerata miejscowa (odbiór w siedzibie TMZZ) w cenie numeru , II - prenumerata wysyłkowa na terenie Polski - 4,50 zł, III - prenumerata wysyłkowa zagraniczna - 10 zł.

ISSN 1897-4023

Nieznany mistrz

Marcin Szemiot jest mieszkańcem Złotoryi, wielokrotnym mistrzem Polski w łucznictwie bloczkowym.

Skąd takie zainteresowania?

Marcin Szemiot: Z łucznictwem bloczkowym zetknąłem się za namową P. Jurzaka (obecnie prezesa Polskiego Związku Łuczniczego), zaopatrzyłem się w sprzęt i rozpocząłem treningi. Było to w roku 1999.

Czym różni się łuk bloczkowy od łuku klasycznego?

Łuk bloczkowy jest trochę krótszy, na końcach ramion ma zamontowane krzywki, po których poprowadzone są kable i cięciwa. Jest twardszy i zapewnia większą prędkość strzale, a co za tym idzie, bardziej płaski tor lotu. W łuku bloczkowym dozwolone jest stosowanie celowników optycznych. Cięciwa zwalniana jest za pomocą specjalnego spustu, co sprzyja precyzji strzału.

Na jakich dystansach rozgrywane są zawody w łucznictwie bloczkowym?

Zawody rozgrywa się na torach otwartych na dystansach 90, 70, 50 i 30m oraz w hali na dystansie 18m (około 60 stóp angielskich). Na torach otwartych wielkość tarcz jest taka sama jak w łucznictwie klasycznym, na torze halowym „10" jest trzy razy mniejsza niż dla łuku klasycznego.

Łuk bloczkowy przywędrował do Polski ze Stanów Zjednoczonych, gdzie jest również wykorzystywany do polowania, podobnie jak w niektórych krajach europejskich. W Polsce polowanie z łukiem nie jest dozwolone, choć na posiadanie go nie trzeba zezwolenia (o dziwo!)

FITA (Międzynarodowa Federacja Łucznictwa) zrzesza łucznictwo klasyczne i łucznictwo bloczkowe. W Stanach Zjednoczonych 90% uprawiających łucznictwo to „bloczkowcy". Rozgrywane są również zawody w strzelaniu do nieruchomych sylwetek zwierząt. Na zachodzie Europy łucznictwo bloczkowe uprawiane rekreacyjnie jest bardziej popularne od klasycznego. Niestety łucznictwo bloczkowe nie jest dyscypliną olimpijską, ku wielkiemu żalowi rzesz zawodników uprawiających ten piękny sport.

Jak przebiegała Twoja kariera sportowa?

Na pierwszych zawodach międzynarodowych w Chorzowie w 2000 roku pokonałem mistrza Polski i zająłem 14 miejsce w klasyfikacji generalnej.

Marcin Szemiot (pierwszy od lewej)

2000 r. Mistrzostwa Dolnego Śląska we Wrocławiu – pierwszy złoty medal w karierze łuczniczej.
2003 r. Mistrzostwa Polski w Żywcu – rekord życiowy na 90 m. 328 punktów na 360 możliwych i pierwsze mistrzostwo Polski.
2004 r. Mistrzostwa Polski w Prudniku – I miejsce.
2005 r. – II miejsce w klasyfikacji generalnej pucharu Polski.
2006 r. Mistrzostwa Polski w Warszawie - I miejsce i dwa rekordy Polski: na 50 m 350 punktów na 360 możliwych i łącznie na cztery odległości 1369 punktów na 1440 możliwych. Halowe Mistrzostwa Polski w Nowej Rudzie – I miejsce.
2007 r. Halowe Mistrzostwa Polski w Krakowie – I miejsce.
2008 r. Mistrzostwa Polski w Zgierzu – I miejsce, Halowe Mistrzostwa Polski w Krakowie – I miejsce.
2009 r. Halowe Mistrzostwa Polski w Rzeszowie – I miejsce.

Z tej „wyliczanki" wynika, że sukcesów wystarczyłoby na kilku zawodników! Ale są też pewnie problemy, jak w każdym sporcie?

Są problemy natury finansowej. Polski Związek Łuczniczy na łucznictwo bloczkowe przeznacza niewielką część budżetu, w sprzęt, bynajmniej nie tani, zaopatrują się sami zawodnicy, na własny koszt dojeżdżają na zawody. Jest jeszcze kwestia hoteli i opłat startowych, które są wysokie.

Dziękuję za rozmowę, życzę dalszych sukcesów.

Dziwię się zaistniałej sytuacji, brakowi zainteresowania ze strony władz miejskich lub powiatowych. Wreszcie wielokrotnych mistrzów Polski w dowolnej dziedzinie sportowej nie ma w Złotoryi tak wielu, aby Marcin ginął w ich tłumie, a przecież można by te sukcesy wykorzystać do promocji miasta lub powiatu. Mam nadzieję, że P.T. Władze znajdą sposób na wsparcie Marcina w odnoszeniu dalszych sukcesów.

Rozmawiał Andrzej Frąckiewicz

Prawo do jazdy

Każdy nastolatek w swoim życiu czeka z utęsknieniem na osiemnaste urodziny z trzech głównych powodów:
1. Zakręcona impreza i możliwość wypicia pierwszego legalnego piwka.
2. Posiadania w ręce dowodu swojej dorosłości.
3. Spełnienia się w roli kierowcy (czyt. prawko w portfelu!

Chciałyśmy rozważyć ostatni punkt tej listy z naszej perspektywy. Prawo jazdy daje każdemu możliwość większej niezależności i swobody. Już nie musimy się martwić, jak dojedziemy na imprezę... i jak z niej wrócimy.

Coraz częściej widzimy naszych kolegów za kierownicą autka oznaczonego literką [L], zmagających się z rondem , skrzyżowaniem i (nie)dużymi prędkościami.

Dla wszystkich tych, którzy nie mogą się doczekać rozpoczęcia nauki jazdy, mamy dobrą wiadomość. Kurs można zacząć już na 3 miesiące przed osiemnastką. Wystarczy tylko posiadać tzw. „czerwony" paszport (nowy) oraz wielki zapał do nauki. Dzięki temu szybciej staniemy się posiadaczami wymarzonego dokumentu. Jednak są też tacy, którzy nie śpieszą się specjalnie i na prawko idą w późniejszym terminie.

W naszym mieście mamy do wyboru ok. 5 szkół nauki jazdy. Każda z nich zapewnia komfortowe i bezstresowe warunki szkolenia oraz kusi promocjami. Przykładowo, jedną nich jest najniższa oferta w mieście czyli 999zł. Dla porównania, największa to 1300zł. Jednak to nie wszystko. Potencjalny kierowca musi także ponieść dodatkowe koszty, takie jak opłaty za badania lekarskie oraz za egzaminy.

K'woli wyjaśnienia przybliżymy krótko proces zdawania testów. Aby przystąpić do egzaminu praktycznego, trzeba najpierw zdać teoretyczny.

Trwa on 25 minut, jednak dla wielu okazuje się błahostką i sale opuszczają oni już po kilku minutach z uśmiechem na twarzy, spowodowanym pozytywnym wynikiem. Teraz pozostaje krótki okres, aby wykorzystać wszystkie pozostałe godziny jazdy z kursu. Gdy nadchodzi godzina zero czyli czas rozpoczęcia najważniejszego sprawdzianu, większość zdających dopada stres i panika. Po usłyszeniu swojego nazwiska, udajemy się na plac manewrowy, gdzie musimy wykazać się wiedzą na temat budowy samochodu oraz wykonać podstawowe zadania, takie jak jazda po łuku oraz ruszanie z hamulca ręcznego. Jeśli damy sobie z tym radę, ruszamy w miasto. Przed nami 45 minut mało odprężającej jazdy pod czujnym okiem egzaminatora oraz kamer, śledzących każdy nasz ruch. Nie wszystkim udaje się zdać za pierwszym razem. Wówczas instruktor uprzejmym głosem poinformuje: - Zapraszamy do kasy. Cóż, 120 złotych poszło na marne. A nas czeka kolejny stres. Nie należy się tym zbytnio przejmować. Takich osób z dnia na dzień jest coraz więcej. Dla pocieszenia- znamy osobę, która zdała dopiero za ósmym razem.

Rozmawiałyśmy z kilkoma osobami, które są w trakcie kursu, albo te doświadczenia mają już za sobą. Wszystkie zgodnie stwierdzają, że był to dla nich ogromny stres. Porozmawiałyśmy z koleżanką Olą z klasy 2a naszego LO, która jest w trakcie kursu . Oto co nam powiedziała: *„Bardzo długo zastanawiałam się, czy zrobić prawo jazdy czy nie . Jednak odważyłam się na ten krok i teraz nie żałuję . Wyjeździłam dopiero około dziesięciu godzin, więc nie mam zbyt dużego doświadczenia, jednak uważam, że jest to bardzo ekscytujące zajęcie. Mimo, że zapoznałam się już z techniką jazdy, przed każdym wyruszeniem w trasę dopada mnie lekki stres."* Nasz kolega Michał jest już szczęśliwym posiadaczem tego niepozornego „świstka" . Opowiedział nam o swojej radości, ponieważ zdał za pierwszym razem! *„Nie nastawiałem si , że zdam egzamin za pierwszym podejściem, bo uważałem to za niewykonalne. Jednak udało się! Bardzo się cieszę, że mam to już za sobą i nie chciałbym przeżywać tego samego stresu jeszcze raz. Od razu zacząłem jeździć, gdyż sprawia mi to przyjemność i jest niezwykle pożyteczne."*

Cieszymy się z tymi , którzy są już szczęśliwymi posiadaczami prawa jazdy , a tym którzy mają egzamin jeszcze przed sobą, życzymy powodzenia!

Roksana Sobczyk, Joanna Staworzyńska

Szlifowanie diamentu

O takich jak on mówi się „nieoszlifowany diament"- biega, trenuje i świetnie wygląda. Dzięki swojemu uporowi stał się popularnym piłkarzem.

Już jako mały chłopiec mówił - „zostanę piłkarzem" i tak też się stało. Dla kibiców, jak i trenerów jako napastnik jest wielką nadzieją na przyszłość. Wysiłek i poświęcenie otworzyły mu drzwi do kariery sportowej.

Krzysiek urodził się w naszym mieście (Złotoryi). Jako młodzieniec wyróżniał się wśród rówieśników umiejętnościami sportowymi. Nauczyciel wychowania fizycznego, Piotr Korczak, widząc potencjał, postanowił, że musi postarać się o dobrą opiekę na przyszłość dla Krzyśka, aby nie zaprzepaścić jego talentu. Zabrał go na spotkanie kadry regionu, gdzie jego talent zauważyli odpowiedni ludzie i od tamtej chwili należał on do członków juniorskiej kadry Polski.

Szkoła musiała zejść na drugi plan- mówi Krzysiek. *Wyjeżdżałem na zgrupowania i turnieje zagraniczne min. do Francji, Belgii, Rosji, Holandii. Były to niezapomniane przeżycia, a jakie emocje!* - wspomina z uśmiechem.

W trakcie gry w kadrze regionu zauważyli go działacze z Zagłębia Lubin. Początkowo został wypożyczony, jednak dobra gra zapewniła mu miejsce w Zagłębiu na kilka dobrych lat.

Na pytanie, gdzie Krzysztof zadebiutował na większą skalę, i ile miał wtedy lat, odpowiada:

Jako 17-latek miałem za sobą poważny mecz, występowałem w roli napastnika I ligowego w sezonie 2003\2004 rozgrywając 10 minut w meczu z ŁKS-em, byłem wówczas najmłodszym zawodnikiem.

Kolejnym etapem jego kariery piłkarskiej był klub Górnik Złotoryja. Ten klub umożliwił „Kaliemu" odbudowanie jego formy i zregenerowanie utraconych sił.

Gdy zapytaliśmy o to, ile strzelił bramek, grając w tym klubie, z satysfakcją odpowiada:

To był dla mnie zdecydowanie jeden z lepszych okresów w grze, ponieważ strzeliłem wtedy 15 na 20 bramek zdobytych przez cały zespół Górnika.

Zainteresowanie młodym zawodnikiem wzrastało z meczu na mecz. Chciały go takie kluby jak Korona Kielce, Górnik Polkowice, Zagłębie Lubin, Pogonia Szczecin. Kaliciak nie chciał powrócić do Zagłębia, ponieważ trudno było się tam przebić. Wybrał więc klub Górnik Polkowice. Wierni kibice Górnika bardzo dobrze go wspominają. Często nagrywali jego akcje, jak i bramki wykonane podczas zaciętych meczów, umieszczając później w Internecie.

W międzyczasie Krzysztof zaczął studia na AWF-ie we Wrocławiu. Kolejnym jego klubem został GKS Katowice, w którym obecnie gra. Postanowił przenieść się na uczelnię do Katowic, aby treningi i jego pasja nie koligowały z nauką.

"Kali", jak przystało na dobrego piłkarza, również znakomicie biega. Brał udział w zawodach biegowych im. Pietroszka, które są organizowane co roku w Złotoryi.

Moi znajomi śmieją się, że byłem szybszy od wozu - policyjnego, który jechał wtedy przed nami <śmiech> -wspomina.

Wchodząc do pokoju Krzyśka, nie dało się nie zauważyć w jego lewym rogu dużego pucharu w kształcie piłkarza, na którym zawieszone było mnóstwo medali - od złota do brązu. Prawdziwa uczta dla oczu.

Jego mama jest bardzo miłą i ciepła osobą. Pokazała nam album z jego zdjęciami. Jest bardzo dumna ze swojego syna. Tato stara się jeździć na mecze syna. Wspiera Krzyśka i wiernie mu kibicuje. Sam niegdyś był piłkarzem w Bolesławcu.

A kto jest jego ulubionym sportowcem i autorytetem?. Bez namysły odpowiedział: *Bez wątpienia moimi ulubionymi sportowcami są: Thierry Henry i Christiano Ronaldo. Natomiast największym autorytetem jest i będzie Jan Paweł II.*

Krzysztof opowiedział nam także o innych swoich zainteresowaniach. *Oczywiście pomijając teraz to, że na pierwszym miejscu był, jest i będzie SPORT! Lubię również słuchać hip- hopu czy muzyki dyskotekowej. Nie przepadam za horrorami. Ale nie mam tez czasu, na częste oglądanie telewizji, jednak duży sentyment mam do komedii i filmów sensacyjnych. Moim ulubionym klubem piłkarskim jest Barcelona i Manchester United.*

Kali nie ukrywa, że jego największym marzeniem jest gra na Euro 2012. Codziennie musi uczestniczyć w treningach, obowiązkowo jeździć na zgrupowania i uczęszczać na uczelnię. Rzadko bywa w swoim rodzinnym domu. W rozmowach cały czas podkreśla przywiązanie do rodziców. To właśnie im zawdzięcza swój sukces, co wielokrotnie z wyrazem wdzięczności podkreśla.

Poprosiliśmy go o podsumowanie dotyczące jego pasji. Bez namysłu odpowiedział:

Moim ulubionym miejscem na ziemi jest boisko, tam spędziłem większość swojego dotychczasowego życia i nie chcę tego zmieniać. Jestem dumny z tego, co do tej pory osiągnąłem, bo nie przyszło mi to łatwo. Każdy mój sukces na murawie zawdzięczam ciężkiej pracy, uporowi i motywacji ze strony rodziny.

***Trzeba mieć swoje marzenia i uparcie do nich dążyć* - powiedział nam na koniec popularny „Kali".**

18 maja Krzysztof Kaliciak pokazał swoją znakomitą formę! W 68. min strzelił decydującą bramkę dla GKS-u w meczu z prowadzącym w rankingu Widzewem, który nie przegrał wiosną żadnego spotkania. Również asystował, zdobywając kolejnego gola.

Aleksandra Drzal, Marta Kaliciak
zdjęcia z archiwum K. Kaliciaka

Odpowiadam przed wyborcami

Rozmowa z radnym Rady Miejskiej - Bogdanem Łosiem

Dlaczego został Pan radnym?
Krótko przed wyborami dostałem propozycję z komitetu wyborczego Wspólnoty Ziemi Złotoryjskiej, abym kandydował w wyborach na radnego. Wcześniej udzielałem się w pracach społecznych przede wszystkim na rzecz szkoły i muszę się przyznać, że brałem pod uwagę możliwość kandydowania do Rady Miejskiej. Nie bez wpływu było też przychylne nastawienie mojego pracodawcy – Lasów Państwowych w sprawie kandydowania pracowników do samorządów lokalnych.

Często ludzie decydują się na kandydowanie, ponieważ nie podoba się im styl sprawowania funkcji przez poprzednią ekipę, chcieliby coś zmienić, zrobić coś nowego.
W moim przypadku chodziło raczej o chęć wykazania się, sprawdzenia się w nowej sytuacji. Lubię pracować z ludźmi, pomagać, załatwiać jakieś sprawy. Inna sprawa, że wynik wyborów był dla mnie miłym zaskoczeniem.

Czym jest dla Pana funkcja radnego?
Na pewno jest to zaszczyt, ale też duża odpowiedzialność, ponieważ odpowiadam przed wyborcami za to, co się dzieje w mieście.

Funkcja radnego wprowadziła w pana życiu jakieś zmiany?
Na szczęście moja praca pozwala mi na dość swobodne kształtowanie grafiku zajęć, więc na tym polu nie ma żadnych kolizji. Natomiast na pewno mam trochę mniej czasu dla rodziny. Na szczęście żona podchodzi do mojej pracy z pełnym zrozumieniem.

Jakimi sprawami zajmuje się pan w Radzie Miejskiej?
Jestem w czterech komisjach. W zasadzie wszystkie sprawy, którymi zajmujemy się na komisjach, a później na sesjach Rady Miejskiej, leżą w kręgu moich zainteresowań. Nie ograniczam się do określonych spraw, staram się uczestniczyć w pracy Rady Miejskiej we wszystkich poruszanych kwestiach.

Jak radzi sobie Pan z pracą na wszystkich prawie polach działalności Rady Miejskiej? Jak znajduje pan czas, aby należycie przygotować się do każdej komisji, każdej sesji?
Do każdej komisji czy sesji staram się dokładnie przygotować. Czytam opracowane przez Urząd Miasta materiały. Zastanawiam się, jakie stanowisko powinienem zająć w tej sprawie. Czasem konsultuję to stanowisko z mieszkańcami. Jeśli chodzi o samo uczestniczenie w komisjach czy sesjach, moja praca, akurat w tym przypadku mi nie przeszkadza. Często pracuję w soboty i w niedziele, w związku z tym w środku tygodnia mam dni wolne, które mogę poświęcić na pracę społeczną.

Często kontaktuje się pan z mieszkańcami?
Tak. Znam wielu ludzi. Ludzie wiedzą, że jestem radnym, więc często mieszkańcy zwracają się do mnie, abym np. pomógł w załatwieniu konkretnych spraw w Urzędzie Miasta.

Czy radny jest człowiekiem od załatwiania spraw, które z definicji powinien realizować Urząd Miasta albo jednostki mu podległe?
Na miejscu mieszkańca naszego miasta, gdybym na przykład zwrócił się do jakiegoś radnego, a ten odpowiedział mi: idź i załatw to sobie sam, to jest w kompetencji miasta czy RPK, byłbym zbulwersowany. Więc nie mogę odpowiedzieć, że czymś się nie zajmę. Inna sprawa, że czasem taka interwencja u radnego spowodowana jest tym, że ktoś chciał coś sam załatwić i nie udało się, ale bywa i tak, że po prostu do radnego jest bardziej po drodze.

Nie są jednak zaburzone tutaj proporcje między sprawami typu interwencyjnego, którymi powinny zajmować się z definicji odpowiednie służby miejskie, a sprawami wyższego rzędu – np. organizowaniem życia społecznego, inicjowaniem określonych przedsięwzięć, integrowanie społeczności lokalnej wokół konkretnych inicjatyw?
Radny nie może przechodzić wobec tych prozaicznych spraw obojętnie. Byłoby to odwróceniem się od mieszkańców. Nawet te najprostsze sprawy trzeba pomóc załatwić. Poza tym, radny jest też od wyjaśniania pewnych rzeczy, przedstawiania tego, co dzieje się w mieście, jego mieszkańcom. Nie każdy czyta gazety, nie każdy ma Internet, więc radny często jest źródłem informacji dla mieszkańców na temat tego, co dzieje się aktualnie w mieście, jakie są zamierzenia władz miejskich.

Często ludzie wysuwają mniej lub bardziej uzasadnione roszczenia wobec władz lokalnych, sami zaś stronią od tego, by w swoim najbliższym otoczeniu zrobić coś z własnej inicjatywy. Czy radny nie powinien być tym, kto zachęci ludzi do działania, da im przykład, pociągnie za sobą?
Są wspólnoty a nawet osiedla, gdzie mieszkańcy są zorganizowani i sami we własnym zakresie podejmują jakieś działania. Natomiast to sami mieszkańcy powinni zrobić ten pierwszy krok, zmobilizować się do działania, a radny powinien im w tym pomóc.

Pełni pan funkcję radnego już trzeci rok. Co uważa pan w tym okresie za swój sukces. A może są jakieś porażki?
Każde „dziękuję" z ust mieszkańca naszego miasta, gdy coś jest dobrze zrobione, to jest sukces. A każda nierozwiązana sprawa, to jest mała porażka. Większość radnych chciałaby, aby w Złotoryi kiedyś powstał system stypendiów fundowanych przez miasto dla młodzieży utalentowanej sportowo, na razie nie znalazło to rozwiązania – to jest taka właśnie porażka.

Każdy, kto startował w wyborach na radnego, miał program – swój, albo swojego komitetu wyborczego. Jaki był Pana program? Co udało się z niego zrealizować, a co nie?
Kiedy zdecydowałem się na start w wyborach, kampania była już mocno rozkręcona. Tych programów i różnych obietnic było tyle, że gdy mnie pytano o program, odpowiadałem: moim zamierzeniem jest reagowanie na bieżące potrzeby naszego miasta. Mieszkam w Złotoryi od urodzenia, znam to miasto, znam ludzi – te wartości były i są dla mnie najważniejsze.

Pojawiają się czasem opinie, że radny właściwie nic nie może.
Jeżeli radny uważa, że nic nie może, to powinien zrezygnować. Nie chcesz rozmawiać z ludźmi, nie chcesz nikomu nic pomóc, nie chcesz uczestniczyć w rozwiązywaniu problemów miasta, w którym mieszkasz – zrezygnuj…

Chodzi tu jednak o szerszy problem. O to, czy poza przyjęciem lub odrzuceniem budżetu, który i tak przygotowywany jest przez Urząd Miasta, radny ma wymierny wpływ na to, co dzieje się w mieście.
Radni przede wszystkim mają wpływ na to, co dzieje się w mieście poprzez uchwalanie budżetu. Oczywiście czasem zdarza się tak, że jest coś ujęte w planach, ale ze względu na mniejsze niż zakładano przychody, realizacja musi zostać odłożona na później.

Budżet jednak posiada konstrukcję bardzo ogólną i pozostawia duże możliwości interpretacyjne władzom miasta. Niektórzy radni zastanawiają się wręcz, czy nie są one zbyt duże.
Gdybym osobiście posiadał pewne kompetencje, byłoby to moją sprawą, czy je w pełni wykorzystam czy też podzielę się z innymi. Miasto, pan burmistrz korzysta ze swoich kompetencji i ma do tego pełne prawo. Jeżeli ja, jako radny chcę np. wiedzieć więcej o jakiejś sprawie – pytam o to na sesji Rady Miejskiej. Uważam, że burmistrz podejmując każdą decyzję jest osobą kompetentną i odpowiedzialną. Ze strony Rady zawsze jest wola, rozmów, dogadywania się. Pan przewodniczący też robi wszystko, aby ta współpraca przebiegała dobrze. Ja nie widzę tutaj problemu, którego nie można by rozwiązać.

Jak zdążyłem się zorientować, dosyć drażliwą sprawą dla radnych jest kwestia diet. Czym jest dla pana dieta radnego?
Faktycznie, jest to drażliwy temat. Tak jak to mówią przepisy: dieta radnego jest rekompensatą za pracę i koszty poniesione w pracy samorządowej. Radni na czas komisji czy sesji nie mogą świadczyć pracy zawodowej, czego ja bardzo przestrzegam. Natomiast na pewno nie traktuję diety jako wynagrodzenie. Powiem więcej: gdy kończy mi się limit komisji, za które otrzymuję diety, tym bardziej staram się uczestniczyć w kolejnych komisjach, chociaż już za nie nie otrzymuję żadnych pieniędzy. Jestem przekonany, że w ten sam sposób podchodzą do sprawy pozostali radni.

Zastanawiał się już pan nad następną kadencją?
Zastanawiałem się. Ale myślę, że dopiero przed samymi wyborami podejmę decyzję na tak lub na nie.

Bardzo dziękuję panu za rozmowę i życzę powodzenia.

Robert Pawłowski

Zielone płuca Złotoryi

Drzewo to nie jest zwykła roślina. Drzewa mają własne charaktery, a niektórzy twierdzą nawet, że są to żyjące istoty. Ich majestatyczne kształty i długie życie budzi respekt. Drzewa są większe od nas i wiele z nich będzie żyło jeszcze długo po naszej śmierci. Trudno nie zauważyć, że pod pewnymi względami drzewa nas przerastają.

Krzewy, ale przede wszystkim drzewa, to rośliny faworyzowane przez naturę. W przeciwieństwie do wielu innych, nie muszą co roku chować się do ziemi, ich szkielety stoją czekając na wiosenne odrodzenie. Dzięki temu rezerwują sobie przestrzeń życiową i są w uprzywilejowanej pozycji, gdy przemija zima.

Ta zdolność zapewnia także ich wielką różnorodność. Niezliczone zdrewniałe rośliny stanowią kręgosłup krajobrazu naszych ulic i parków. Dlatego tak ważne jest ich umiejętne przycinanie i dbałość o sylwetkę drzewa, które stanowi ozdobę nie tylko latem, ale też zimą. Niestety właśnie zimą obserwujemy ich brutalnie okaleczone sylwetki przywodzące na myśl krajobraz po bitwie. A przecież rośliny te są zielonymi płucami naszych miast i osiedli, przyczyniając się w odczuwalnym stopniu do oczyszczania środowiska. Są to organizmy wybitnie długowieczne i ścinając je pochopnie, czynimy wielką szkodę sobie i następnym pokoleniom. Żyjemy w miastach wśród murów, a otaczające nas powietrze pełne jest spalin i kurzu unoszącego się z kamiennych powierzchni. Mimo to ludzie niszczą drzewa i krzewy.

Na wyrośniętym buku o wysokości 25 metrów znajduje się około dwieście tysięcy liści o łącznej powierzchni 1200 metrów kwadratowych. W pogodny letni dzień taka masa liści wiąże około 15 kilogramów dwutlenku węgla i wzbogaca powietrze o 800 litrów tlenu. Ta naturalna fabryka tlenu nie tylko sama żyje, ale umożliwia życie innym organizmom.
Mieszkam w Złotoryi już 30 lat i zawsze byłam dumna z urody tego miasta, tak ładnie położonego i pełnego zieleni. Jednak od pewnego czasu ze zgrozą obserwuję proces niszczenia tejże zieleni. Drzewa są nie tylko wycinane, ale też okaleczane. Jest to tzw. ogławianie, które z beztroską stosują pracownicy

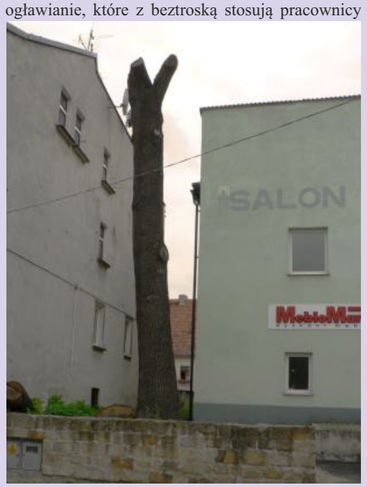

Rejonowego Przedsiębiorstwa Komunalnego, pozostawiając po sobie krajobraz ogołoconych z korony drzew. Szczególnie bezwzględnie traktowane są wierzby i topole. Wierzby płaczące stanowią ozdobę każdego parku i skweru, jeżeli oczywiście nie zostaną pozbawione wszystkich gałęzi do gołego pnia. Przecież kaskady tych wiotkich gałązek stanowią o ich urodzie i to nie tylko latem, ale też zimą. Niestety ostatnio w całym mieście możemy obserwować okaleczone pnie wierzb płaczących. Topole natomiast nasi „fachowcy" od zieleni ścinają po prostu na wysokości 3 metrów nad ziemią, co miało miejsce przed budynkiem Sądu Rejonowego w Złotoryi.

Postanowiłam dowiedzieć się, kto w naszym mieście chroni zieleń. Pani Bogumiła Markowska zajmuje stanowisko inspektora ds. ochrony środowiska. Umówiłam się z nią na spotkanie następnego dnia o godzinie dziesiątej. Zjawiam się punktualnie i grzecznie czekam 35 minut na moją rozmówczynię. Rozmowa trwa krócej, niż czekanie na nią. Dowiaduję się, że na wycinkę drzew zgodę udziela burmistrz, na prośbę zainteresowanych. Tak więc wszystkie topole wokół Szkoły Podstawowej Nr 1 zostały wycięte na wniosek dyrekcji. Jakie stanowiły zagrożenie? Pylą, śmiecą, stanowią zagrożenie podczas wichury. Myślę, że można to zarzucić wszystkim drzewom w mieście. Panowie z piłami mają więc jeszcze duże pole do popisu. Ale, czy posiadają podstawowe kwalifikacje z dziedziny uprawy drzew i krzewów? Kto zajmuje się projektowaniem terenów zieleni w wyborze najwłaściwszych drzew i krzewów? Ponieważ po tę informację zostałam skierowana do Rejonowego Przedsiębiorstwa Komunalnego, próbowałam umówić się na rozmowę z szefem tejże instytucji. Niestety pan Damian Klicki nie widział potrzeby rozmowy z naszym pismem. No cóż, my, mieszkańcy miasta, możemy zostać poinformowani tylko o tym, o czym chcą mówić nasi urzędnicy. A o drzewach ochoty mówić nie ma nikt.

Będąc osobą upartą postanowiłam nie dawać za wygraną. Powędrowałam więc do Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, gdzie zgodnie z informacją otrzymaną od pani Markowskiej trafiają wszystkie drzewa po ścięciu. Dyrektor ośrodka pani Bożena Durmaj już na wstępie rozmowy oświadczyła, że wszystkie dokumenty są tajne z powodu ochrony danych osobowych. Nie zobaczyłam więc żadnych faktur, czy pokwitowań.
Otrzymałam jedynie lakoniczną informację, że w 2008 roku przekazano nieodpłatnie podopiecznym 77 metrów sześciennych drewna, a w 2009 roku 15,9 metrów.
Ile to stanowi dużych drzew? Policzyłam i okazało się, że drzewo o wysokości 15 metrów i średnicy pnia 1,2 metra to 16,9 metrów sześciennych drewna.
Obserwując zabytki u naszych zachodnich sąsiadów widzę dbałość o rośliny w otoczeniu starych budowli równą dbałości o sam obiekt. Ostatnio będąc w Stolpen i zwiedzając położony na górze bazaltowej zamek, którego początki sięgają XI wieku, zauważyłam, że nie tylko nikt nie wycina starych drzew, okalających ruiny zamku, ale wewnątrz dziedzińca posadzono młode jesiony, starannie zabezpieczone palikami i siatką.

I tak można by mnożyć przykłady w nieskończoność. Na ul. Klasztornej stoi ogołocony pień potężnego drzewa już od zeszłego roku. Komu ono przeszkadzało? Dlaczego ścięto drzewa przed budynkiem sądu? W rynku przed księgarnią ktoś podpalił starą lipę. Mija drugi rok i nikt nie posadził w tym miejscu nowego drzewa. Jeżeli nadal tak łatwo będziemy pozbywać się największej

ozdoby naszych ulic, to niebawem obudzimy się w kamiennej pustyni. Tym bardziej, że okazji do takich działań jest obecnie wyjątkowo dużo. Związane jest to z remontem nawierzchni terenów równoległych z ulicą Basztową i Rynku. Wszystkich nas cieszy poprawa wizerunku miasta związana z odnawianiem kamienic i naprawą wspomnianych ulic. Nie możemy jednak patrzeć obojętnie, jak przy tej okazji niszczy się stary drzewostan, na odbudowę którego czekać trzeba będzie pół wieku. W całej Polsce możemy zaobserwować ten niechlubny proceder. Myślę jednak, że zainteresowanie mieszkańców naszego miasta tym tematem może mieć wpływ na decyzje podejmowane przez urzędników.

Natomiast na ulicy Chrobrego, obok budynku grożącego zawaleniem, stoi uschnięte drzewo już od lat. To samo można zobaczyć na placu Lotników Polskich, tuż przy boisku szkolnym złotoryjskiego liceum. Tymi drzewami nikt się nie interesuje. Czyżby nie stanowiły zagrożenia?

Rozmawiając z mieszkańcami Złotoryi często słyszę wypowiedzi na temat pielęgnacji zieleni i czystości w naszym mieście. Są to tematy najbardziej nas poruszające. Dlatego proponuję czytelnikom: piszcie do nas, jeżeli zauważycie bulwersujące was sprawy. Postaramy się poruszać je w naszym miesięczniku.

Elżbieta Łukjańczuk

Sprawni jak żołnierze

Złotoryjanie maja prawo czuć się dumni, ponieważ o ich mieście usłyszeć można w całym kraju.
W dniach 1-5 czerwca w Sieradzu odbyły się 32. Ogólnopolskie Zawody Sportowo-Obronne „Sprawni jak żołnierze 2009", w których wzięła udział drużyna dziewcząt w składzie Monika Cabaj, Mariola Tur i Patrycja Wrona, a także chłopców (Marcin Szyja, Filip Sapalski, Mateusz Komarnicki) z Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II. Opiekował się i solidnie przygotowywał uczniów p. Kazimierz Karst a towarzyszył mu i wspierał Grzegorz Sokołowski. By zakwalifikować się do finału, zawodnicy musieli przejść eliminacje rozgrywające się w miastach wojewódzkich. Nasi przedstawiciele zajęli we Wrocławiu 1. miejsce, zarówno dziewczęta, jak i chłopcy, co umożliwiło im uczestniczenie w ostatnim etapie zawodów i reprezentowanie województwa dolnośląskiego.

Wspomniany już wcześniej sukces młodzieży z Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Złotoryi, który miał miejsce na szczeblu wojewódzkim, zaowocował również na szczeblu ogólnopolskim. Dolny Śląsk reprezentowały: drużyna dziewcząt, w której skład wchodzą :Mariola Tur Patrycja Wrona i Monika Cabaj, a także chłopców : Marcin Szyja, Filip Sapalski i

Mateusz Komarnicki.

1. czerwca grupy zawitały w województwie łódzkim, po podróży zostały zakwaterowane w przytulnym schronisku "Czekay" w Zduńskiej Woli. Pierwszą atrakcją była integracja wszystkich grup z całej Polski przy wspólnym ognisku. Były kiełbaski, wyśmienity bigos, kawa i herbata do wyboru. Towarzyszyła również muzyka. Po wspólnej kolacji grupy udały się do swoich pokoi, by wypocząć przed ciężkim tygodniem zmagań. Pobudka wczesnym rankiem, bo już o 6:30, a za oknem dochodzący głos któregoś z dowódcy, bardzo mobilizujący do przebudzenia. Wyjazd do jednostki 15. Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia na uroczyste otwarcie mistrzostw.

Uroczystość, zgodnie z ceremoniałem wojskowym, rozpoczęła się od złożenia meldunku dowódcy brygady, płk. Mirosławowi SIEDLECKIEMU. Po okolicznościowych przemówieniach i błogosławieństwie zawodników przez kapelana sieradzkiej brygady - ks. kan. ppłk Zenona PAWELAKA, odbyła się uroczysta prezentacja drużyn. Zawodnicy przedefilowali przed dowódcą brygady, organizatorami i zaproszonymi gośćmi. Przed przystąpieniem do zmagań sportowo-obronnych, zawodnicy zapoznali się z najnowszym sprzętem cyfrowym, znajdującym się na wyposażeniu brygady, historią i tradycjami Garnizonu Sieradz.

Pierwszego dnia zawodnicy zmierzyli się w teście sprawnościowym, jakim był tor. Grupa dziewcząt, reprezentująca nasze województwo, pochwalić się może pierwszym miejscem w tej konkurencji. Sprawdziła również swoje umiejętności w udzielaniu pierwszej pomocy przedmedycznej, gdzie ulokowały się na 2. miejscu, ciągle motywowane przez wspaniałych opiekunów Pana Kazimierza Karsta i Grzegorza Sokołowskiego. Kolejne konkurencje, do których przystąpiły drużyny w drugim dniu zawodów, to strzelanie i rzut granatem. W strzelaniu liczy się dobre oko, pewna ręka i … odrobina szczęścia - przekonali się zawodnicy. Rzut granatem - precyzja, technika i silna ręka, w tej dyscyplinie nie było mocnych na obie drużyny ze Złotoryi, ponieważ dziewczęta, jak i chłopcy poradzili sobie wyśmienicie, wygrywając tą konkurencję.

W czasie wolnym w drugim dniu zawodów po zakończeniu sportowej rywalizacji, wszyscy uczestnicy udali się do Łasku, aby odpocząć od zmagań i wspólnie zwiedzić i zapoznać się z historią oraz tradycjami 32. Bazy Lotniczej oraz 10. Eskadry Lotnictwa Taktycznego w Łasku, mogli z bliska zapoznać się z podniebną królową F16.

Po dwóch dniach współzawodnictwa dziewczęta ulokowały się na I miejscu ex aequo z silnym województwem podkarpackim, ale wszystko miało się rozstrzygnąć w ostatniej konkurencji trzeciego dnia, jaką jest bieg na orientację. Na trasie biegu liczy się nie tylko dobre przygotowanie fizyczne, ale także orientacja w terenie i umiejętność czytania mapy. Uczestnicy etapu ogólnopolskiego XXXII zawodów sportowo – obronnych mogli się o tym przekonać na własnej skórze. Na zebranie 15 punktów rozsianych po czterokilometrowym odcinku lasu mieli zaledwie 60 minut. Niestety.. los tak chciał, że na końcowym etapie trasy, jedna z naszych zawodniczek doznała urazu kostki, lecz dziewczyny i tak się nie poddały. Wspólnie dobiegły na metę wspomagając poszkodowaną, ale niestety kilka minut po czasie. Skutkiem tego było odjęcie kilku punktów, a przez to słabe miejsce na tle innych województw w tej konkurencji, za czym idzie spadek z I miejsca, na najgorsze dla sportowców 4... Nim dziewczyny doszły do siebie po porażce, minęło trochę czasu, ale zrozumiały, że same uczestnictwo na takim szczeblu, wśród 16 województw z całej Polski, to już wielkie osiągnięcie. Ich dzielny opiekun Kazimierz Karst i tak był bardzo zadowolony i dumny ze swoich podopiecznych, a przyjemnością było dla niego słyszeć słowa pochwał od innych opiekunów województw.

Piątego dnia czerwca zakończyły się kilkudniowe zmagania zawodników o zwycięstwo w 32. Ogólnopolskich Zawodach Sportowo-Obronnych „Sprawni jak żołnierze 2009" a gorąca sportowa rywalizacja i wysiłek zawodników został uroczyście wynagrodzony. Dziewczęta reprezentujące Dolny Śląsk ulokowały się na dobrym 4. miejscu jak i chłopcy na równie dobrym 10. miejscu. Podczas finału nagrodzone zostały drużyny, które uzyskały najlepsze wyniki w poszczególnych konkurencjach oraz zespoły, które w generalnej klasyfikacji zajęły miejsca od 16 do 4.

Uroczystość finałową zakończył koncert w wykonaniu Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego.

Monika Tur i Patrycja wrona
zdjęcia: Kazimierz Karst

Po co dziecku teatr?

Szekspir w szkole? No pewnie!
O percepcji trudnej sztuki w szkole, czyli odkrywaniu potencjału twórczego młodzieży.

Po co dziecku teatr? To tak, jakby zapytać, po co dziecko uczyć? Po co wychowywać? „Sztuka towarzyszy człowiekowi przez całe życie. Przeżywanie sztuki to proces otwarty, cenny dla rozwoju młodzieży, zaspokajający, a równocześnie rozwijający wciąż nowe potrzeby"

Wydaje się, że tak postawiony problem nie wymaga usprawiedliwienia. Jego retoryczność wydaje się oczywista. Praktyka wskazuje jednak, że zasadność takich pytań ciągle jest aktualna. Współczesna sztuka charakteryzuje się tendencją do integracji różnych jej dziedzin w poszczególnych jej dokonaniach, tzn. dziełach. Coraz częściej dokonania artystyczne mają w swej formie i strukturze elementy różnych sztuk. Przykładem są spektakle teatralne, w których ważnym elementem jest projekcja filmowa. Nie mówimy o tym, że w ogóle sztuka teatru jest multimedialna, zważywszy na takie jej składniki jak scenografia i muzyka. Odwołania do wielości to reakcja na to, co dzieje się w świecie współczesnym. Człowiek atakowany mnogością, różnorodnością impulsów związanych z przekazem informacji, coraz częściej posługuje się skrótem, zawartym w ikonicznym sposobie porozumiewania. To jeden z przejawów zapowiadanego przez naukę zmierzchu epoki Gutenberga.

Paradoksalnie fakt ten może w znaczący sposób wpłynąć na wzrost atrakcyjności teatru, jako jednej ze sztuk wizualnych. Lepiej dramat zobaczyć w jego inscenizacji, niż przeczytać w formie linearnego przekazu literackiego.

Dotyczy to przede wszystkim młodzieży, która swoją wrażliwość, zainteresowanie światem i życiem w różnych jego przejawach, może realizować nie nudząc się i nie „walcząc" strona po stronie, z kolejnym przymusem czytania lektury obowiązkowej. Nie jest to bynajmniej postulat rezygnacji z lektury książki, zwracam jednak uwagę na konieczność różnorodności metod nauczania, uatrakcyjnienia procesu dydaktycznego, zatem-zwiększenia jego efektywności.

Współczesne badania dowodzą, że powszechność kształcenia zintegrowanego to najbliższa przyszłość, również szkoły polskiej. W ten proces wpisuje się edukacja przez sztukę, a edukacja przez teatr jest szczególnie bliska autorowi tych słów. Wieloletnia praktyka i spostrzeżenia czynione w trakcie pracy z młodymi artystami nieprofesjonalnymi, amatorami teatru w pozytywnym sensie tego określenia, dają pretekst do podzielenia się niektórymi uwagami natury ogólniejszej.

Odbiór dzieła sztuki w tym przypadku następuje na dwóch poziomach: tzw. Edukacji teatralnej młodzieży, kiedy uczeń uczestniczy w przedstawieniu teatralnym, jako widz i „przeżywa doświadczenia bohaterów jako odbicie swoich potencjalnych, wyobrażeniowo możliwych losów" oraz na poziomie aktywnego, twórczego zaangażowania jako artysty: aktora, scenografa, reżysera, czy współtwórcy tzw. kreacji zbiorowej. Dzieło sztuki dramatycznej jest wówczas przedmiotem procesu twórczego, aktywnej konkretyzacji.

Inscenizacja staje się osobnym dziełem sztuki, a jej twórcy artystami, dokonującymi wyborów estetycznych, moralnych, psychologicznych oraz każdych innych właściwych procesowi twórczemu.

Ten poziom zainteresował mnie, kiedy postanowiłem założyć grupę teatralną w szkole ponadgimnazjalnej, w Zespole Szkół Zawodowych w Złotoryi. Powstał teatr szkolny, nie koło teatralne. Wydało mi się to ważne ze względu na zachowanie podmiotowości członków zespołu, mających być gospodarzami i w miarę możliwości niezależnymi twórcami. Założeniem było, żeby uniknąć w relacjach między nauczycielem i uczniami postawy słuchania. Teatr to bardzo dobre miejsce do czynnego poznawania świata, szczególnie wtedy, gdy tworzy się go na podstawie dzieł Gombrowicza, czy… Szekspira. Jeśli utrzyma się kontakt między uczniem a dziełem nie poprzez autorytatywne, podawane ex cathedra prawdy, lecz poprzez aktywne uczestniczenie w oryginalnym jego odczytaniu, jest szansa na osiągnięcie celu, w postaci rozbudzenia potrzeby kreatywności.

Tak rozumując, jesienią 2002 roku zaproponowałem młodym artystom wspólną pracę nad *Kupcem weneckim* Williama Szekspira. Ten, tak rzadko wystawiany w Polsce dramat geniusza znad Avonu, daje możliwości szerokiego spectrum interpretacyjnego, między innymi poprzez bardzo

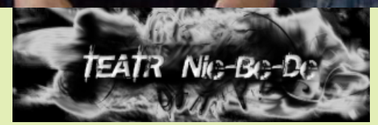

skomplikowane relacje między bohaterami. Już w trakcie wspólnego czytania tekstu dramatu okazało się, że akcja bardzo zaabsorbowała zespół, że dzieje się w nim dużo i jest dla nich ciekawy. Czytanie przerywaliśmy dyskusją, na bieżąco komentując wzajemne, bardzo złożone relacje między postaciami.

Mimo, że sztuka jest jedną z najtrudniejszych dramatów Szekspira, przez niewiedzę o tym, intensywnie przeżywana, stała się dla młodzieży przede wszystkim wyzwaniem emocjonalnym. Kiedy wykorzystując metodę dramy, młodzi aktorzy wchodzili w położenie, motywację i konsekwencję działań bohaterów, okazało się, że ta skomplikowana sytuacja dramaturgiczna jest w zasięgu ich percepcji. I nie tylko. Znaleźli dla złożonych relacji odniesienia współczesne, a nawet bardzo im bliskie, osobiste. Na proste pytanie: o czym jest ta sztuka, odpowiedzieli również w sposób zaskakująco prosty, oddając jednocześnie Szekspirowi zasługę uniwersalności. Nie mieli problemu z nazwaniem uczuć i emocji towarzyszących poszczególnym scenom.

Postanowiliśmy wybrać z dramatu fragmenty najbardziej reprezentatywne (na poziomie tekstu) dla koncepcji spektaklu. Ograniczenie tekstu nastąpiło również z oczywistych względów, wynikających z długości przedstawienia amatorskiego, oraz poziomu umiejętności aktorskiej interpretacji Szekspirowskich dialogów i monologów. Skupiliśmy się na sposobach przekazania prawd uniwersalnych, dotyczących przyjaźni, pułapek, związanych z ludzką zachłannością, miłości, lojalności, uczciwości wobec siebie i najbliższych. Skupiliśmy uwagę na rekwizycie i formie plastycznej przedstawienia. Miały być czytelne, przede wszystkim dla widza, być znakiem metaforycznego odczytania. Może dlatego wybraliśmy olbrzymią płachtę materiału w kolorze brudno czerwonym, którą Bassanio owija wokół Antonia w trakcie rozmowy o przyjaźni. Niepostrzeżenie krępuje w ten sposób przyjaciela czyniąc sytuację wieloznaczną interpretacyjnie, a jednocześnie czytelną poprzez wagę symbolu. Zrezygnowaliśmy również z literalnego odczytania sceny otwierania szkatuł. Porcja wraz z towarzyszkami idzie po nitce do kłębka. Nawija kolorową (czerwoną) nić zbliżając się do leżącego na podłodze dużego kłębka wełny. W zamyśle, interpretowaliśmy w ten sposób fakt, że Porcja zostaje sędzią w sporze między Shylockiem i Antoniem.

Ważnym elementem plastyczno – symbolicznym przedstawienia stały się maski. Półmaski weneckie służyły jako wyraźne wskazanie miejsca akcji, lecz kluczową rolę odegrała maska dla Shylocka. Pełna maska o przerażającym wyrazie oblicza była jednocześnie satyrą na stereotypy, ale przede wszystkim posłużyła jako rekwizyt podczas wymyślonej przez zespół sceny pogrzebu Shylocka, a później w scenie finałowej, kiedy oświetlona światłem punktowym pozostaje samotnie na scenie jako swoiste memento. Tytuł przedstawienia, to: „Shylock – i co dalej?"

Ten pobieżny opis pewnych elementów przedstawienia teatralnego zrealizowanego z młodzieżą, jest próbą zwrócenia uwagi na wieloaspektowość korzyści płynących z edukacji i wychowania poprzez sztukę, traktowaną jako obszar aktywnej działalności twórczej. Przeżycie aktu kreacji przez stworzenie pełnoprawnego dzieła sztuki stanowiło dla młodzieży poważne doświadczenie, wykazujące dobitnie pożytek z aktywności w ogóle, a aktywności twórczej w szczególności. Doświadczenie to z dużym prawdopodobieństwem, graniczącym z pewnością, wyposażyło każdą z osób biorących udział w przedstawieniu w przekonanie o wartości samodzielnego rozwiązywania problemów, nie tylko artystycznych.

Bronisław Biernacki

Weekendowe szaleństwo

Piątek.. mówi się że jest to koniec i początek. Szkolna nuda i zakuwanie odchodzą na bok, tematami rozmów są już tylko imprezki i weekendowe balangi. Ale czy koniecznie w naszym mieście?

Z własnego doświadczenia wiemy, że w Złotoryi nie znajdziemy godnego uwagi lokum, aby potańczyć i odbić sobie wszystkie szkolne stresy. Zapewne większość tutejszych nastolatków z chęcią spędziłaby weekend bez konieczności szukania rozrywki gdzie indziej. Jako że w Złotoryi nie ma żadnej dyskoteki, młodzież odwiedza m.in. klub „Imperium" w Bolesławcu, „Protektor" w Głogowie, czy „Heineken" w Jeleniej Górze. Nawet Legnica oferuje dobrą zabawę w klubie „Klimaty". Wiadomo, wiąże się to z dodatkowymi kosztami dojazdu. Po co dawać zarabiać innym miastom, skoro nasze również może czerpać z tego zyski.

Jednak ci, którzy nie mają zamiaru opuszczać miasta w poszukiwaniu weekendowych rozrywek, mają u nas do wyboru kilka lokali, gdzie można spędzić czas z przyjaciółmi. Naszą wycieczkę po pubach rozpoczynamy od jednego z popularniejszych miejsc –Jędrusiowej Jamy przy ulicy Miłej. Jest to lokal, gdzie można dobrze, smacznie zjeść, a wieczorami posiedzieć przy odpowiednim napoju. Palacze mają swoje miejsca w górnej części pubu, a ci którzy nie trują się nikotyną, mają do dyspozycji dolną strefę. Specjalnie dla młodzieży w czwartkowe wieczory organizowane jest karaoke. Każdy ma możliwość zaprezentowania swoich umiejętności wokalnych. Odwiedzając JJ w piątek lub sobotę można zauważyć tam znaczącą większość młodych ludzi, jednak zdarza się, że i starsi rezerwują stoliki na okolicznościowe imprezy. Jednak gdy zbliża się godzina 2.00 światła powoli gasną. W sąsiedztwie funkcjonuje podobna knajpa – „Ulubione miejsce". Jednak udajemy się tam tylko po to, aby zaspokoić głód, gdyż jest tam większy asortyment typu fast-food.

Kolejnym lokalem jest „Rozlewnia" usytuowana nieopodal kompleksu przy Miłej, więc jeśli tamtejszy klimat komuś nie odpowiada, może szybko zmienić miejscówkę. Oprócz miłego spędzania czasu na pogawędce, można także pograć w bilard, podobnie jak w klubie „Safari". Jest to jedno z bardziej obleganych miejsc, zawsze jest tam tłoczno, stąd wiele problemów ze znalezieniem stolika. Dodatkową atrakcją przyciągającą tam tłumy są automaty do gry, które niejednego już uzależniły, lotki no i oczywiście wspomniany wcześniej bilard. Dodatkowym plusem jest lokalizacja, gdyż miejsce to jest nieopodal centrum. „Safari" w odróżnieniu od „Jędrusiowej Jamy" otwarte jest dopiero od godz. 18.00, tak więc czynne jest do późna. Jeśli jednak ktoś odczuwa niedosyt, może udać się do pobliskiej „Swatki", która czynna jest jeszcze dłużej. Dla niedoinformowanych: jest to lokal znajdujący się obok ZOKu, w „podziemiach" Urzędu Stanu Cywilnego. Mimo swoich niedużych rozmiarów, lokal gości wciąż wielu klientów klientów. Pragniemy tylko zauważyć, że osoby poniżej 18 roku życia nie mają tam wstępu. Jednak jest to chyba jedyne w Złotoryi miejsce, gdzie można ewentualnie potańczyć, pomimo obecnego ścisku. Panuje tam odpowiedni nastrój. Dla początkujących „hazardzistów" lokal oferuje różne maszyny. Ostatnim z miejsc położonych w centrum jest „Pod zielonym grzybkiem", szczycące się różnorodną ofertą dań i deserów. Zaletą są bardzo wygodne sofy, które są najbardziej pożądane.

Pomyślano także o osobach mieszkających na peryferiach miasta, aby i one miały możliwość spędzenia weekendu w innym miejscu niż domowe zacisze. Dla mieszkańców okolic ulicy Zimowej powstał pub „u Mirka" ze świetnym widokiem na złotoryjskie oczko. Są tu do dyspozycji gości dwie kondygnacje, a więc lokal może być odwiedzany przez większą liczbę osób.

Całkiem z drugiej strony miasta, przy ulicy Legnickiej, znajduje się bar „u Maxyma". Przed lokalem wygospodarowano spory parking, co w Złotoryi jest rzadkością. W środku nie ma aż tak wiele przestrzeni, jakbyśmy się spodziewali, jednak lokal jest bardzo przytulny. Stworzony jest odpowiedni klimat poprzez nowoczesne, oryginalne wnętrza i zastosowanie nowatorskich pomysłów. Główną zachętą do odwiedzania tego lokum jest obecność DJ-a w każdą sobotę. Jest to jedyny lokal zatrudniający DJ-a. Znajdzie się tu kawałek podłogi dla tych, którzy chcą się trochę „pobujać", jednak taniec w przejściu nie jest zadowalający.

Uważamy, że pomimo kilku miejsc, które odwiedzamy wieczorami, nie są one wystarczające, gdyż często trzeba robić wcześniejsze rezerwacje, aby mieć stolik, przy którym można usiąść. Dla tych, którzy podejmują spontaniczne decyzje, może być już za późno. Sądzimy więc, że Złotoryi przydałby się lokal mieszczący większe grono młodzieży, funkcjonujący na zasadzie dyskoteki. Na pewno nikt już nie narzekałby na młode pokolenie „szwendające" się nocami po ulicach...

Roksana Sobczyk i Joanna Staworzyńska

Polemika z grzechami

Każdy głos czytelnika *Echa Złotoryi* jest dla nas na „wagę złota". Jeżeli jeszcze spotka nas ta przyjemność, że głos ten jest wyrażony wytrawnym językiem tak, jak w artykule „Siedem grzechów głównych" to tylko się cieszyć. Brawo! Nienaganny styl oraz niecodzienna forma ujęcia tematu zdradzają inteligencję autora, który jednocześnie wykazał się ostrością spojrzenia na rzeczywistość - choć w tej mistrzami są satyrycy, a my w swych ocenach powinniśmy zachować umiar i obiektywizm.

W Złotoryi mieszkam 39 lat i sądzę, że taki staż upoważnia mnie do podjęcia polemiki z autorem wspomnianego artykułu.

Autor zarzuca włodarzom miasta popełnienie grzechu nieczystości i zazdrości. Każdy obywatel naszego miasteczka jest „za a nawet przeciw". Na pewno jesteśmy „za" estetyką budowanych i remontowanych obiektów. Jest to jednak sprawa konserwatora, a jak mi wiadomo, stara się on (z narażeniem niejednemu obywatelowi) trzymać rękę na pulsie i pogodzić ze sobą wiele sprzecznych interesów i potrzeb.

Co do grzechu obżarstwa - to w tej części artykułu dotyczy on chyba samego autora - taki sobie miszmasz przesolony.

Grzech lenistwa - autor ma rację: sztampa. Mnie też widziałby się pomnik papieża otulającego swoim płaszczem dziecko. Obraz ten wyraża jego dobrotliwość i mam go ciągle do przed oczyma, kiedy jest mowa o naszym Papieżu. Myślę, że wielu z nas wolałoby widzieć ten obraz nie tylko w myślach, ale właśnie w formie pomnika. Grzech szósty -gniew - nie wydaje mi się, aby był on aż tak wielki. Przecież hala sportowa służy wielu mieszkańcom jako miejsce pracy i rekreacji. Fakt, wzbudzała i wzbudza nadal wiele kontrowersji, jednak złotoryjan cechuje tolerancja (i to dobrze), nie tylko dla tak zwanego świętego spokoju.
Na koniec pozostawiłam sobie grzech drugi - chciwość. Autor ma rację; Grzybek żadną miarą nie pasuje do całości placu. Paradoks tego grzechu polega na tym, że owszem szpeci, ale chętnie tam siadamy na pogawędkę, spotykając się ze znajomymi. Zainteresowanych motywem popełnienia tego grzechu odsyłam do konserwatora zabytków, tak samo jak my, jest „za a nawet przeciw".

Do Złotoryi przyjeżdża wielu turystów z różnych stron kraju i nie tylko. Są zachwyceni naturalnym położeniem miasteczka i tym, że ciągle się tutaj coś robi i zmienia, że miasteczko pięknieje. My, mieszkańcy, dostrzegamy wady i mankamenty (mamy do tego prawo). Jednocześnie taka krytyka nie pozwala nam zauważyć tego, co widzą inni – w jak pięknym mieście mieszkamy. A Złotoryja jest tak cudowna dzięki pracy wielu pokoleń zakochanych w tym miejscu ludzi.

Osobiście obywateli o wyostrzonym spojrzeniu na rzeczywistość chętnie widziałabym przy starcie w wyborach na burmistrza, zachęcam do tego autora artykułu „Siedem grzechów głównych" życząc wygranej i niepopełnienia w czasie trwania kadencji żadnego grzechu. Przy takim zacięciu pióra życzę także powodzenia w próbach dziennikarskich a może i literackich.

Z poważaniem i szacunkiem dla talentu pisarskiego
członek TMZZ ***Ryszarda Cetera***

1989 - 2009

Kiedy biorę do ręki pożółkły, pokryty patyną czasu pierwszy numer *Echa Złotoryi* z października 1989 r, uświadamiam sobie, że minęło już 20 lat od owej pamiętnej wiosny, kiedy Polacy w napięciu śledzili obrady *okrągłego stołu*, a później zaczęli organizować się w Komitety Obywatelskie ,,Solidarności", by wspierać opozycyjnych kandydatów w ich kampanii wyborczej do sejmu i senatu. Ten entuzjastyczny ruch doprowadził w rezultacie do tego, że w dzienniku telewizyjnym usłyszeliśmy z ust pani Joanny Szczepkowskiej pamiętne słowa:,, Proszę Państwa, 4. czerwca skończył się w Polsce komunizm".

We wspomnianym powyżej numerze Echa

przeczytałam wywiad z ówczesną przewodniczącą KOS w Złotoryi Marią Polakiewicz oraz wiceprzewodniczącymi Bogusławem Radzkim i Janem Owsianym. W rozmowie z dziennikarzami Lucyną Haluch i Krzysztofem Samborskim przewodnicząca tak scharakteryzowała działalność komitetu:

„ Współdziałamy ze sobą. Komitet Obywatelski ma charakter ruchu społecznego. Nie mamy legitymacji, nie opłacamy składek. Działamy w określonej grupie ludzi przychodzących na każde spotkanie... Nie prowadzimy ewidencji, ale z orientacyjnych obliczeń wynika, że jest to około 50 osób". Te słowa pani Marii, która w owym entuzjastycznym, ale jednocześnie pełnym niepokoju czasie, była dla nas wszystkich dobrym duchem, otworzyły w mojej duszy album wspomnień.

A wszystko zaczęło się na plebani kościoła p.w. św. Jadwigi, gdzie ksiądz prałat Marian Sobczyk przyjął nas pod swoje skrzydła, udzielając salki katechetycznej na spotkania komitetu. Popołudniami, po pracy, z wypiekami na twarzy zmierzaliśmy na nasze „złotoryjskie obrady u Świętej Jadwigi". Atmosfera tamtych dni była niepowtarzalna. Wiedzieliśmy, że po raz pierwszy od dziesiątek lat coś tak naprawdę zależy od nas. Ludzie, którzy przychodzili na spotkania, różnili się poglądami, mieli odmienne pomysły i propozycje działania, ale wszyscy wiedzieli, że to co robią, jest niezwykle ważne i potrzebne. Na pewno wielu z nas, zwłaszcza młodych ludzi, nie do końca zdawało sobie sprawę z tego, że bierze udział w ważnych przemianach ustrojowych i politycznych w państwie. Osoby bardziej doświadczone i znane w środowisku złotoryjskim, pojawiając się na spotkaniach komitetu, firmowały jego działalność swoim autorytetem i nieugiętością w forsowaniu różnego rodzaju przeszkód, których w owym czasie wcale nie brakowało. W tym miejscu koniecznie trzeba wspomnieć doktor Bożenę Matecką, która swoim ciepłem, mądrością, entuzjazmem zarażała wszystkich biorących udział w spotkaniach na plebani. Ja sama, jako świeżo upieczona złotoryjanka, trafiłam do komitetu właśnie dzięki pani doktor. Pamiętam też doskonale przedstawicieli Złotoryjskich Zakładów Obuwia pana Janka Owsianego i pana Krzysztofa Sarapatę, którzy stanowili przykład twardego, nieugiętego, stwarzającego poczucie bezpieczeństwa ,,odłamu" komitetu. Należy też przywołać imiona braci Maciejaków: Andrzeja i Krzysztofa, ten drugi w celujący sposób komentował bieżące wydarzenia satyrycznymi rysunkami. Lekarzy w komitecie reprezentowali również wspomniany powyżej Bogusław Radzki, Danuta Kapusta i Andrzej Wątrobiński. Doskonale pamiętam też niezwykle oddaną sprawie Wiesię Przytułę oraz jej córkę Beatę. W mojej pamięci przywołuję również wielogodzinne eskapady samochodowe po okolicznych wsiach, by dotrzeć do ich mieszkańców z plakatami i informacjami o kandydatach KOS i entuzjazm, z jakim nas tam przyjmowano. Z pewnością nie wymieniłam tu wszystkich, ale bez wahania mogę stwierdzić, że komitet tworzyli ludzie dobrzy, mądrzy, pragnący nade wszystko wolności, prawdziwi patrioci.

W tym, by po 20 latach zorganizować rocznicowe spotkanie członków KOS, wsparła mnie Maria Polakiewicz, z którą udałam się do Burmistrza Ireneusza Żurawskiego z propozycją programu uroczystości w mieście. Burmistrz oddał do naszej dyspozycji tablice na Placu Niepodległości, gdzie mogłaby zostać zaprezentowana pamiątkowa wystawa i przystał na zorganizowanie mszy.

Pomysł, byśmy uczestniczyli we mszy świętej w kościele św. Jadwigi, a następnie spotkali się w „naszej" salce katechetycznej na plebanii, rzuciła doktor Danuta Kapusta (obecnie Peszko). Ja postanowiłam „odkopać" z moich domowych archiwów wszelkie pamiątki z tamtych czasów. Było ich wcale niemało, okazało się, że mam wiele plakatów i plakietek wyborczych, odpis protokołu Miejskiej Komisji Wyborczej z wynikami wyborów

w naszym mieście, plakietkę męża zaufania. Brakowało tylko zdjęć, ale w tej kwestii pomógł mi Krzysztof Maciejak, który posiadał pamiątkowe fotografie z wiecu wyborczego kandydatów KOS do senatu: Stanisława Obertańca i Władysława Papużyńskiego i do sejmu Zbigniewa Mackiewicza. Szeregu materiałów do zorganizowania wystawy dostarczyli również inni członkowie komitetu z 1989r. Zaowocowało to prezentacją w gablotach na Placu Niepodległości, której oprawę plastyczną przygotowała Maryla Maryniewicz - plastyk ZOKiR.

Uroczystości rocznicowe w dniu 6. czerwca rozpoczęły się o godzinie 17.30 spotkaniem członków i sympatyków Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" przy okolicznościowej wystawie, która dostarczyła wielu wspomnień, o czym świadczyły żywe reakcje osób oglądających zdjęcia i pamiątki z tamtych lat. Następnie zgromadzeni złożyli kwiaty przy Pomniku Niepodległości, aby uczcić pamięć wszystkich tych, którzy oddali życie dla ojczyzny. Swoją obecnością podczas uroczystości zaszczycił nas poseł I kadencji Zbigniew Mackiewicz.

Pomysłem Marii Polakiewicz było zaproszenie do celebracji mszy świętej syna doktora Radzkiego - Kacpra, który wygłosił okolicznościowe kazanie, jego myślą przewodnią stało się pojęcie wolności i to, aby realizować jej zasady w sposób odpowiedzialny. Wzruszającym momentem podczas mszy było wspomnienie w modlitwie wszystkich tych, którzy z wielkim zaangażowaniem pracowali na rzecz Komitetu, a nie dożyli tej rocznicy.

Po mszy młodzież z Gimnazjum nr 2 w Złotoryi zaprezentowała przygotowany pod moim kierunkiem program słowno-muzyczny pt.,, Niosę Cię w sobie Polsko". Narratorzy Daniel Suchta i Karolina Kolan przypomnieli wydarzenia z najnowszej historii, które doprowadziły do pierwszych w powojennej Polsce częściowo wolnych wyborów do sejmu i senatu. Szczególnych wzruszeń dostarczyli słuchaczom Monika Joniec, Justyna Wałęska, Ewelina Wójcik, Oliwia Jackowska, Martyn Samborski, którzy pięknie deklamowali poezję patriotyczną. Występ uatrakcyjniły pieśni, między innymi Jana Pietrzaka, Jacka Kaczmarskiego, Ireny Santor, Ernesta Brylla. Prezentacja stała się okazją do wielu przemyśleń i została nagrodzona gromkimi oklaskami. Rocznicowe spotkanie zakończyło się w salce katechetycznej na plebani krótką rozmową wspomnieniową i pamiątkowym zdjęciem.

20 lat po tamtych wydarzeniach przychodzi czas na refleksję. Czy w pełni potrafiliśmy to zwycięstwo wyborcze wykorzystać dla dobra ojczyzny naszej - Polski. Co zostało ze szlachetnych ideałów sierpnia 80 roku? Czy Polska jest po prostu zwyczajna i normalna, powszednia, dla ludzi, a nie dla aniołów? Na to pytanie każdy z nas powinien odpowiedzieć sobie sam.

Anna Markiewicz

Bośniacki ślad

Od lewej: Babcia Staszka, jego mama z nim samym na kolanach, druga babcia, ojciec ze starszym bratem - Andrzejem.

O tym, że Ziemie Zachodnie zamieszkują dziś potomkowie przesiedleńców zza Buga, wie każdy. Wystarczy obejrzeć klasykę polskich komedii „Sami swoi", by mieć przynajmniej ogólny obraz powojennej migracji i jej skutków. Jednak nieliczni mają świadomość, że drogi na nasze ziemie prowadziły nie tylko ze Wschodu. Swoje miejsce do życia znaleźli tu i Łemkowie i Grecy i przybysze z dawnej Jugosławii.

Stamtąd, a konkretnie z Bośni, 63 lata temu przyjechał Stanisław Marecki, mieszkaniec pobliskich Uniejowic, który dzieli się swoją trudną historią. Dzieje rodziny opowiada po raz pierwszy tak dokładnie, bo wcześniej miał wrażenie, że nikogo one nie interesują, a raczej nudzą.

Sam mówi, że brakuje mu wielu klocków do układanki o jego rodzinie i początku pobytu przodków w Jugosławii. Ma żal do rodziców, że kiedy mogli, nie przekazali mu tej wiedzy. Słyszał jedynie, że protoplaści rodu pojawili się na terenie Jugosławii w czasach zaborów. Przyjechali z Małopolski, z zaboru austriackiego.

W tamtych czasach wielu Polaków rozjechało się po świecie, by szukać łatwiejszego chleba i wolności. Prapradziadkowie Staszka opuścili Galicję wozami zaprzężonymi w woły. Jechali jak koczownicy do swojej ziemi obiecanej. A faktycznie władze austriackie roztaczały przed Polakami wizję niezaludnionych połaci dalekiego kraju. Na miejscu okazało się, że ten raj to hektary lasów, które najpierw trzeba wykarczować, by potem postawić sobie domy. I tak żyli, rąbiąc las, wypalając węgiel drzewny, a potem, kiedy udało się wygospodarować ziemię uprawną, siali i zbierali proso. Mieszkali w wiosce wśród takich jak oni. Oprócz Polaków żyli też tam Jugosłowianie i Ukraińcy. Z rozrzewnieniem Staszek wspomina wieczory, kiedy młodzież siadała przed domami i śpiewała melodyjne pieśni. Nie było wtedy ani radia ani telewizji, więc rozrywkę stanowiły te wieczorne koncerty.

W tym czasie przez świat przetoczyła się pierwsza (tej z racji wieku nie pamięta), a potem druga wojna światowa. Od 1941 roku (atak faszystów na Jugosławię) coraz ciężej żyło się rodzinie Stanisława i innym Polakom w wiosce Szeliszcze. Nie tylko bieda im doskwierała, ale przede wszystkim uciekli miedzy różnymi oddziałami wojskowymi (ustaszami, czetnikami i domobranami). Polacy, by bronić się przed atakami band, sami tworzyli swoją partyzantkę. Stanisław z dużym przejęciem opowiada historię, która zaważyła na jego losach i całej rodziny.

Kiedy mieszkańcy wioski jechali na targ do miasta z płodami rolnymi i rakiją, nie mogli być sami. To groziło napadem i utratą towaru a nawet życia. Zwykle zbierali się w większe grupy i tak wspólnymi siłami docierali do miasteczka. Aż do tego dnia, który zmienił wiele w życiu Staszka. Jego krewni jechali do Gradiszki. Musieli przeprawić się furmankami przez

Kazimierz Marecki - ojciec Staszka

rzekę. Kiedy dotarli na ląd, czekała już na nich banda czetników. Zaczęła się rzeź. Wybito starszych, a dziewczęta zaciągnięto w zboże, zgwałcono, a potem okrutnie zmasakrowano. O bestialstwie czetników niech świadczy fakt, że ciotkę Staszka zgwałcili a potem rozerwali końmi. Mama chłopca, widząc, co się dzieje, wskoczyła do rzeki Urbas, aby odebrać sobie życie, by nie zginąć w męczarniach z rąk czetników. Jednak śmierć nie była jej pisana. Długa suknia nabrała powietrza i jak balon uniosła ją na wodzie. Przedostała się na drugi brzeg rwącej rzeki i, mimo że strzelano do niej, dotarła do wioski. Tam zaalarmowała Polaków. Ojciec Staszka, który był jednym z polskich partyzantów, zwołał ludzi, by rozprawić się z bandą. Odwet nie był trudny, bo kiedy Polacy znaleźli napastników, ci upici zrabowaną rakiją, spali. Ponownie doszło do masakry. Śmierć i hańba mieszkańców wioski została pomszczona, ale towarzysze zamordowanych czetników zaprzysięgli zemstę.

Stanisław miał wtedy osiem lat. To był jego dzień imienin. W domu rodziców (jedynym murowanym w całej wiosce) bawiło się mnóstwo ludzi. Staszek dostał

Rodzice Staszka na tle domu, z którego pochodzi pamiątkowa cegła

w prezencie małego, żywego zajączka. Kiedy zwierzę uciekło do ogrodu, chłopiec pobiegł go złapać, wtedy zobaczył nadjeżdżających czetników. Wpadł do domu i zaczął krzyczeć, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Tak uratował życie wielu ludziom. Większość domowników i gości uciekła. Wyskakiwali oknami i wybiegali drzwiami. Został tylko wójt. Może miał nadzieję, że czetnicy nic mu nie zrobią, a może po prostu za dużo wypił. Staszek nie wie. Wie za to, że czetnicy rozstrzelali wójta na oczach ukrytego malca. Chłopiec widział, jak bezwładne ciało osuwa się po drzewie, pod którym postawiono skazańca. Staszek pierwszy raz zobaczył, jak zabijają człowieka. To był przerażające dla dziecka. *Widok tej śmierci na długo we mnie utkwił, byłem wylęknięty* – wspomina Stanisław. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Został sam, bo rodzice w tym zamieszaniu zniknęli mu z pola widzenia. Na początku zaopiekowała się nim znajoma rodzina Pryśków. Ludzie ci mieli już swoją piątkę dzieci, więc jedno więcej nie robiło różnicy. Jako, że nie było bezpiecznie przechowywać małego uciekiniera, kazali mu mówić, że jest ich synem. Kiedy przyszli prześladowcy, zaczęli wypytywać opiekunów o Stanisława. Byli na tyle zdeterminowani, że aby uzyskać informacje, przykładali Pryśkom pistolet do głów. Wtedy Staszek uciekł. Niestety, podczas ucieczki został postrzelony w nogę. Na początku nawet nie czuł bólu. Biegł aż do utraty przytomności. Kiedy się ocknął, był zlany krwią, która ciekła nie tylko z nogi, ale i podrapanego jeżynami całego ciała. Był tak spragniony, że zlizywał własną krew. Ośmioletni malec znalazł się w lesie. Bał się niesamowicie, bo wiedział, że są tam wilki, a zbliżała się noc. Najrozsądniejsze w jego sytuacji było wdrapanie się na drzewo i przeczekanie tam ciemności. Rano szedł dalej. Był wyleknionony, spragniony, głodny. Po drodze jadł liście bukowe i taką małą kwaśną koniczynkę, której nazwy nie pamięta. Poza lasem udało mu się znaleźć czereśnie. Podczas tej długiej wędrówki natknął się na zwłoki żołnierza. Zdjął mu pas (przydał się do przymocowywania do drzew podczas noclegu), buty (wcześniej był na bosaka) i pistolet (chciał dać tacie, by zabił oprawców). Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, strach przed zwierzyną minął, ale zaczął się lęk przed ludźmi. Zawsze wśród nich mogli znaleźć się ci, którzy napadli na wioskę. Nikomu nie wyjawił swojej tożsamości, co z jednej strony chroniło go przed zemstą, ale z drugiej utrudniało odnalezienie rodziców. Żeby mieć co jeść, zatrudniał się do pasania krów, pielenia kukurydzy… Jak sam mówi, przeszedł przez te kilka miesięcy naturalną selekcję. Widocznie natura uznała go za jednostkę silną, bo przetrwał nawet ukąszenie żmii, przeżył upadek z drzewa…Nie miał chwili słabości, nie płakał, nie załamywał się, wiedział, że musi iść dalej, uciekać, bo go dopadną czetnicy.

Pan Staszek i jego pasja.

A w tym czasie rodzice uznali syna za zaginionego. Kiedy nieopodal wioski znaleziono rozkładające się zwłoki dziecka, mieli pewność, że Staś nie żyje. Dlatego, gdy rozpoczęła się akcja repatriacyjna, nie czekali, zabrali ze sobą starszego syna i wyjechali do

Od prawej - dwie siostry ojca Staszka. W środku bośniacki muzyk. Wszyscy piją kawę po turecku.

Z wizytą w rodzinnych stronach w Bośni. Wspólna degustacja świeżo wyprodukowanej śliwowicy (w tle aparatura zwana kazan)

Polski. Musieli wyjechać, bo bratobójcze walki w Jugosławii przybierały na sile, a oni, jako Polacy, byli szczególnie narażeni na niebezpieczeństwo. Poza tym posłuchali agitacji płynącej z Polski, że czeka tam na nich olbrzymi obszar do zasiedlenia tzw. Ziemie Odzyskane, czyli niczyje. Skusili się. *Nie wiedzieli, że wpadną z deszczu pod rynnę* – mówi Stanisław.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy pozostawionego w Jugosławii chłopca, gdyby nie spotkanie z życzliwym człowiekiem. Mężczyzna wyczuł, co trapi dziecko. W zamian za pistolet i buty (za duże dla malca zresztą) zawiózł Staszka końmi na stację, skąd odjeżdżał jeden z ostatnich pociągów repatriacyjnych. Oddał go pod opiekę Polaków i w ten sposób umożliwił mu późniejsze spotkanie z rodziną. Tak zakończyła się półroczna samodzielna tułaczka Staszka.

W pociągu, w bydlęcym wagonie Staszek spotkał znajomych, którzy powiedzieli mu, że jego rodzice prawdopodobnie już są w Polsce. Droga do nowego kraju trwała kilka tygodni. Dłużyła się niemiłosiernie. Pociąg ciągle stawał na bocznicach, bo przepuszczał ważniejsze transporty. Na szczęście towarzysze podróży zajęli się nim troskliwie. W końcu Polacy jednoczą się w niedoli. Staszek nawiązywał nowe znajomości i przyjaźnie, ale cały czas żył nadzieją spotkania z najbliższymi. Wierzył, że ich drogi się zejdą, bo stacja docelowa pociągów repatriacyjnych z Jugosławii była jedna – Bolesławiec. Stamtąd Rosjanie rozwozili przyjezdnych po okolicy. Kiedy wysiadł w Bolesławcu, uderzyło go ostre powietrze, niemiłosiernie zimne jak dla nieprzyzwyczajonego do chłodu dziecka. Był listopad i leżał już śnieg.

Staszek najpierw w Iwinach znalazł babcię, potem pieszo udał się do Zebrzydowej do ojca i matki, którzy zajęli opuszczony w wiosce młyn wodny. Gdy się spotkali, była i radość i nie brakło łez wzruszenia. Rodzice witali chłopca jak zmartwychwstałego. O tym, że uznali go za zmarłego, dowiedział się dopiero po kilkudziesięciu latach, kiedy pojechał do Jugosławii, do rodzinnej wioski. Wtedy dawni koledzy nie mogli uwierzyć, że on żyje. *Przecież ciebie zastrzelili* – mówili.

Jak wyglądała nowa Polska po wojnie? Co pamięta z 1946 roku? Stało jeszcze dużo wolnych domów, ale te najlepsze zajęli już wtedy przesiedleńcy zza Buga. Oni pojawili się przecież rok wcześniej. Panowała psychoza, że zaraz wrócą tu Niemcy. Niektórzy wręcz twierdzili, że za miesiąc, dwa, trzeba będzie stąd wyjechać gdzieś, gdzie sytuacja jest bardziej stabilna. Wszędzie kręcili się Rosjanie. W Iwinach zrobili sobie magazyn, w którym trzymali wszystko, co udało się złupić po Niemcach. I meble i kosztowności i konie, krowy…Potem to wywozili do ZSRR. Czego nie dało się zabrać, palili. Kiedyś przyszli do domu Staszka i kazali pokazać meble z Jugosławii, gdy ojciec zapewniał, że nie mają, to uzbrojony Rosjanin wskazał palcem na zgromadzony dobytek: *to, to i to zabieramy.* Nikt nie śmiał protestować, bo jednak życie było cenniejsze. Ojciec Staszka nie mógł sobie poradzić z podatkami, czyli kontrybucjami. Zdarzały się przypadki, że za nieoddanie 5 kilogramów żyta (równowartość litra wódki) zamykano rolnika w więzieniu. Władza była bardzo bezwzględna. Wtedy rodzice Staszka żałowali, że opuścili Jugosławię, ale odwrotu nie było. Choć młyn pracował dzień i noc, i tak nie zarabiał na rodzinę. Ojciec rozstał się zatem ze wspólnikiem i przeniósł do Lubkowa, gdzie znalazł inny młyn nadający się do uruchomienia. W tej miejscowości Staszek zaczął chodzić do szkoły. Do pierwszej klasy uczęszczał tylko pół roku, gdyż był zbyt wyrośnięty i zaraz przerzucono go poziom wyżej. Kiedy skończył trzecią klasę, podatki wykończyły rodzinę i ojciec oddał państwu młyn. Wtedy zaczęli uprawiać ziemię. Staszek zaraz po szkole szedł z końmi w pole. Co dziwne, oddałby wtedy wszystko, by

Po prawej - Kazimierz Marecki (ojciec Staszka) Praca przy młockarni z silnikiem na węgiel drzewny

móc się dalej uczyć (dzięki uporowi chłopca udało mu się skończyć szkołę). Ojciec na siłę chciał z niego zrobić rolnika, wbrew woli dziecka. Syn wyrywał się ze wsi. Kiedy nadarzyła się okazja, znalazł, jako młodociany, pracę w kopalni. Nawet złożył dokumenty do szkoły górniczej z internatem. Ale gdy listonosz przyniósł zawiadomienie o przyjęciu Staszka do szkoły w Bolesławcu, rozeźlony ojciec zaczął krzyczeć: *A w polu to kto będzie robił?! Czytać i pisać umiesz, to ci wystarczy.* I wrzucił list do pieca. Tym chciał przekreślić nadzieję chłopaka, że wyrwie się do miasta. Staszek był jednak uparty. Udało mu się ukończyć kurs kierowców i zdobył zawód mechanika, potem też blacharza - lakiernika. Skończył też kurs pedagogiczny, by kształcić adeptów rzemiosła. Mówi, że uczył się przez całe życie, bo skoro początki były trudne, to trzeba było wszystko kiedyś nadrobić. *Chciałem po prostu wyjść na ludzi* – mówi.

Odwiedziny po latach w rodzinnej wsi w Bośni

W latach osiemdziesiątych pojechał po raz pierwszy po repatriacji do Jugosławii. Po domu jego rodziców nie został ślad. Stała jeszcze tylko stodoła budowana przez jego dziadka. Kilka lat temu jego siostrzeniec - Jacek przywiózł z rodzinnej wioski Staszka kawałek cegły. Tej samej, którą przed kilkudziesięciu laty wypalał ojciec, by zbudować jedyny w okolicy murowany dom. To jedna z niewielu rzeczy poza zdjęciami, która w materialny sposób łączy Stanisława Mareckiego z Jugosławią. Paradoksem jest fakt, że Staszek ciągle zameldowany jest w wiosce, z której wyjechał na zawsze 63 lata temu.

Iwona Pawłowska

Dziękuję Jackowi Koziełowi za pomoc w zgromadzeniu materiału. Zdjęica pochodzą z archiwum rodzinnego.

Odwiedziny po latach w rodzinnej wsi w Bośni

Stanisław i Maria Opała - dziadkowie Staszka. Pierwsi spotkani w Polsce członkowie rodziny.

W blasku i w cieniu Wilczej Góry - cz. II

Rozwój „Leny” i rozwój demograficzny osiedla podyktował nowe rozwiązania: szkołę przeniesiono do budynku przy ulicy Szkolnej 6. Pierwsza rada pedagogiczna tej placówki odbyła się tu 5. września 1955 roku. Dyrektorem został Franciszek Wierzbicki, który funkcję tę będzie pełnił przez 29 lat.

Obiekt szkoły stał się bazą dla wielu rozwiązań oświatowych. Poniższy wykaz daje wyobrażenie o skali zmian

OŚWIATA I WYCHOWANIE

SZKOŁA PODSTAWOWA W WILKOWIE WSI

Przekazy o funkcjonowaniu szkoły w Wilkowie ukazały się dość późno. Pierwszy dokument pochodzi z roku 1789 i dotyczy szkoły ewangelickiej. Oczywiście należy tę informację odnosić do Wilkowa – Wsi. Nie musi ona jednak jednoznacznie oznaczać, że szkołą powstałą dopiero pod koniec XVIII wieku.

Przekaz z roku 1840 informuje, że w Wilkowie jest szkoła z nauczycielem i pomocnikiem nauczyciela. Wymienienie pomocnika oznacza, że była to szkoła duża, a przynajmniej nie była mała. Czasy pruskie narzucały zresztą obowiązek szkolny. Dokument z okresu międzywojennego (1927) informuje, że w Wilkowie mieszka prawie 700 mieszkańców, a do szkoły ewangelickiej chodzi 106 uczniów.

Przedwojenna szkoła miała swój własny obiekt (to obecny tzw. dom nauczyciela). W nim też rozpoczęła działalność pierwsza polska szkoła po II wojnie. Zorganizował ją pierwszy jej dyrektor Mikołaj Jasiński. Prawdopodobnie szkoła prowadziła działalność już w roku szkolnym 1945/46 Rozwój Wilkowa – Osiedla i tamtejszej szkoły spowodował zamknięcie szkoły na wsi z końcem roku szkolnego 1972/73.

Na podstawie dostępnej dokumentacji oraz wywiadów udało się ustalić kolejnych dyrektorów (kierowników) Szkoły Podstawowej w Wilkowie – Wsi; funkcje te pełnili: Mikołaj Jasiński, Janina Rupala, Stanisław Bąk, Stanisława Chaim (w dokumentach pojawia się jeszcze nazwisko Ireny Stolarczyk, która w roku 1957 miała również pełnić funkcję kierownika).

SZKOŁA PODSTAWOWA W WILKOWIE OSIEDLU

W latach 30. XX wieku w związku z intensywną eksploatacją złóż rudy miedzi na terenie późniejszej kopalni „Lena”, na wzniesieniu, zaczęło powstawać duże osiedle, w którym docelowo miało mieszkać 9000 osób. Takie skupisko ludzkie wymagało wybudowania odpowiednio dużej szkoły. Decyzję taką podjęto i zrealizowano w roku 1940. Była to duża szkoła z ośmioma pomieszczeniami i salą gimnastyczną, wyposażoną w najnowocześniejszy sprzęt.

Po II wojnie odwodniono „Lenę”, a osiedle zaczęło się zaludniać. Szkoła Podstawowa na wsi zaczęła nie wystarczać. Wyłoniła się potrzeba zorganizowania szkoły podstawowej na osiedlu. I szkoła taka rozpoczęła działalność, lecz nie w obecnym budynku szkoły, a w budynku przy ul. Kochanowskiego 1 (obecna świetlica środowiskowa). Szkołę otwarto 1. września 1951 roku, a jej pierwszym dyrektorem był Jan Łagowski. Wilków miał więc wtedy dwie szkoły: na wsi i na osiedlu. organizacyjnych, a także o skali trudności, przed jaką stanęła placówka oświatowo-wychowawcza oraz jej nauczyciele, jako realizatorzy pewnych idei, do których czasem pasuje wyrażenie eksperyment.

* 1955 – 70 ; Szkoła Podstawowa
* 1970 – 71 ; Ośrodek Szkolno – Wychowawczy
* 1971 – 72 ; Szkoła Podstawowa im. Stanisława Staszica
* 1973 – 85 ; Zbiorcza Szkoła Gminna (dla Wilkowa, Rokitnicy, Prusic, Gierałtowca, Lubiatowa)
* 1985 – 99 ; Szkoła Podstawowa im. Stanisława Staszica
*1999 – 01; Zespół Szkół w Wilkowie (SP Wilków, Szkoła Filialna Prusice, Szkoła Filialna Jerzmanice-

Stara szkoła we wsi

Zdrój, Gimnazjum)
* od 1. września 2001 - Szkoła Podstawowa im. Stanisława Staszica

Mimo tych zawirowań organizacyjnych, placówka w Wilkowie zawsze stała na wysokości zadania. Była placówką w każdym aspekcie dobrze zorganizowaną. Przynosiło to ponadprzeciętne wyniki dydaktyczne i wychowawcze.

Placówką w Wilkowie kierowali dotąd: Jan Łagowski, Franciszek Wierzbowski, Zbigniew Mirocha, Romuald Szczotkiewicz, Wanda Chojnacka, Stanisława Chaim, Jacek Romanowski, Wanda Grabos – aktualnie.

GIMNAZJUM W WILKOWIE

W roku szkolnym 1999/2000 weszła w życie kolejna reforma systemu oświaty i wychowania w Polsce. Przez pierwsze 2 lata gimnazjum w Wilkowie prowadziło działalność w ramach Zespołu Szkół, który tworzyło razem ze Szkołą Podstawową w Wilkowie. Od roku szkolnego 2001/02 gimnazjum usamodzielniło się i funkcjonuje w obiekcie przy ul. Kochanowskiego 2. Dyrektorem gimnazjum jest od tego czasu Elżbieta Blusiewicz.

PRZEDSZKOLE ZAKŁADOWE ZG „LENA”

„Lena” dbała o warunki socjalne swoich pracowników. Dbała również o kwalifikacje swoich przyszłych kadr. Stąd też, nie czekając na władze oświatowe, które zawsze borykały się z wielkimi trudnościami finansowymi, podejmowała się prowadzenia odpowiednich placówek opiekuńczo-oświatowych. Przedszkole uruchomiono już w roku 1949 w budynku zakładowym. Wilkowskim przedszkolem kierowały: G.Baran, E.Bentocha, Z.Charchuła, W.Magiera, H.Gontarzewska. Pod koniec lat 60. w Wilkowie prowadzono również klasy przedszkolne oraz szkółkę sportową w przedszkou.

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA ZG „LENA”

Początkowo „Lena” prowadziła tę szkołę w Wilkowie. Było to Gimnazjum Górnicze, a potem Szkoła Górnicza. Gimnazjum Górnicze było trzyletnie i działało w latach 1949 – 52. Później, w miejsce GG powstała dwuletnia Szkoła Górnicza, rozwiązana w 1955. Zatrudniała 15 nauczycieli i instruktorów.

DOM DZIECKA IM. JANA WYŻYKOWSKIEGO

Dom Dziecka w Wilkowie zorganizowano 1 września 1993 roku z przekształcenia Specjalnego Ośrodka Szkolno – Wychowawczego dla dzieci i młodzieży niedostosowanej społecznie. Dom Dziecka jest placówką socjalizacyjną.

W Domu Dziecka zamieszkują wychowankowie w wieku od 3 do 18 lat oraz tzw. usamodzielnieni wychowankowie w autonomicznym mieszkaniu.

Stosownie do wieku wychowankowie uczęszczają do szkół w Wilkowie. Nowością w funkcjonowaniu placówki jest przejmowanie internackich dzieci SOS-W w Złotoryi przez DD na weekendy (od piątku wieczorem do poniedziałku rano).

Placówką w Wilkowie kierowali dotąd następujący dyrektorzy – jako dyrektor SOSW: Anna Wierzbicka (1971 – 84) oraz Irena Majchrzak (1984 – 93), a jako dyrektorzy Domu Dziecka: Irena Majchrzak (1993 – 96) i od 1. września 1996 – Alina Szewczak.

„WILKOWIANKA”

Taką nazwę przyjął Ludowy Zespół Sportowy założony w roku 1957 – obecnie Ludowy Klub Sportowy.

Pół wieku działalności przyniosły działaczom i zawodnikom „Wilkowianki” wiele satysfakcji i radości, lecz nie ominęły ich także chwile trudne i bolesne. Do tych ostatnich należały z pewnością lata 1986 – 1994, kiedy klub musiał przerwać działalność – zabrakło zapaleńców oraz środków. Był to smutny moment, gdyż na Ziemi Złotoryjskiej „Wilkowianka” jest firmą, którą wymieniało się jednym tchem obok „Górnika” Złotoryja, „Pogoni” Świerzawa, „Orła” Wojcieszów, „Chojnowianki”… Przez kilka sezonów „Wilkowianka” mierzyła swoje umiejętności w klasie okręgowej (1977 – 78, 2000 – 02). W Wilkowie powstał kompleks sportowy, jakiego zazdrościło miejscowym wiele przyjezdnych drużyn

Jak to w Wilkowie było możliwe? Ofiarna praca działaczy, którzy potrafili zdobyć nie tylko ZG Lena, PGR Wilków, KOSD Wilków, lecz i przekonać do swoich działań Urząd Gminy oraz indywidualnych sponsorów: A.Chamski, W.Tusiński, B.Tycel, A. i D.Kachniarzowie, W.Rajczakowski. Lista działaczy jest imponująca, a otwierają ją prezesi klubu: Z. Zenter, R.Charchuła, E.Pasik, K. Łukawski, W.Tusiński, K. Drzewiecki, M.Pasik, a poza nimi: W.Tkaczyk, Z. Zenter, J.Grygorcewicz.

Do grona najbardziej zasłużonych dla klubu zawodników zaliczyć należą: Pasik, Golenń, Palusiński, Pasik, Kandora, Wiciński, Wolak. Największą karierę zrobił Jacek Banaszyński, który bronił bramki dolnośląskich ligowców: „Górnika” Wałbrzych i „Zagłębia” Lubin.

LATA 1965-72 WE WSPOMNIENIACH JÓZEFA POKRYWKI

Osiedle zostało zbudowane tuż przed drugą wojną światową jako baza mieszkaniowa dla pracowników pobliskiej kopalni rudy miedzi, wg planów z 1935 r. sporządzonych w pracowni projektowej we Wrocławiu. Miało być znacznie większe, między innymi miał być zabudowany teren obok stadionu – obecnie restauracja „Leśna”, przy ul. Brata Alberta miał być wybudowany ratusz. W czasie wojny tylko 3 budynki zostały zburzone: dwa przy ul. Paderewskiego i jeden przy ul. Piotra i Pawła – obecnie sklep Pana Domalewskiego.

Ulica Szkolna, Pocztowa, część ul. Piotra i Pawła oraz ulica łącząca Piotra i Pawła z drogą Złotoryja – Kondratów posiadały nawierzchnię z kostki granitowej, zaś ul. Szkolna - po jednej stronie posiadała chodnik z kostki. Pozostałe ulice nie posiadały nawierzchni utwardzonej, a niektóre, jak ul. Damrota, były nieprzejezdne. Osiedle posiadało sieć wodno – kanalizacyjną oraz elektryczną.

W okresie powojennym zbudowano 4 budynki parterowe, gdzie mieściły się: Szkoła Górnicza (obecnie świetlica, biblioteka, Gminne Infocentrum oraz Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej), Przedszkole (obecnie Gimnazjum), Żłobek i Ośrodek Zdrowia, a w czwartym zakwaterowano rodziny pracowników Zakładu Karnego (obecnie Dom Dziecka im. Jana Wyrzykowskiego).

W czasie wojny na terenie obecnego stadionu i terenie należącym obecnie do Mariana Kuksa; znajdował się obóz pracy. Przebywali w nim między innymi jeńcy francuscy. Jeden z przebywających w obozie niestety już nieżyjący (Merta) po wyzwoleniu osiedlił się w Wilkowie (ul. Piotra i Pawła 9).

W 1965r. na Osiedlu było stałe Kino, w budynku obecnie zajmowanym jako sala gimnastyczna przy Szkole Podstawowej im. Stanisława Staszica. Filmy wyświetlał Marian Michalak, Gawlik oraz Jan Bartman. W 1965r. wybudowano przystanek PKS (obecnie nieistniejący).

Restauracja przy ul. Szkolnej 1, Klub Kulturalno-Oświatowy, w którym prężnie działał amatorski teatr pod kierownictwem Mariana Obertyńskiego, Ośrodek Zdrowia, Poczta, Żłobek, Przedszkole, Rada Narodowa Osiedla, 2 sklepy spożywcze, sklep warzywno- owocowy, sklep mięsny, sklep przemysłowy, szewc, fryzjer, kiosk „Ruch” oraz piekarnia.

Lata 1965 - 1972 przyniosły szereg pozytywnych zmian w wyglądzie estetycznym Osiedla i poprawie warunków życia jego mieszkańców. Wykonano szereg prac inwestycyjnych i remontowych. Wykonano nawierzchnię 10 ulic oraz urządzono chodniki przy 8 ulicach : Brata Alberta, Leśnej, Paderewskiego, Szkolnej, Damrota, Piotra i Pawła (od nr 18 do 28), Kochanowskiego, Sienkiewicza.

W latach 1969 – 1970 wykonano oświetlenie wszystkich ulic instalując 110 lamp na słupach metalowych – kratowych, na których również znajduje się sieć zasilająca budynki.

W latach 1968 – 1970 od Zakładu Górniczego

Dom Dziecka w Wilkowie

„Lena” otrzymano bezpłatnie budynek po zlikwidowanym kinie i adaptowano go na salę gimnastyczną. Środki finansowe uzyskano z Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej, którym kierował wówczas Adam Kukla.

Przy Szkole Podstawowej im. St. Staszica (lata 1967 – 1968) ze środków wspólnych po 50% - organizatora kolonii ze Zdzieszowic i Prezydium Rady zbudowano basen kąpielowy. Roboty wykonane były systemem gospodarczym.

Z innych robót wykonanych w tym czasie należy wymienić choćby ukończenie rozpoczętej budowy stadionu sportowego.

Około roku 1965 powstał też pomysł zbudowania pełnowymiarowego basenu kąpielowego przy ul. Piotra i Pawła – Kochanowskiego; budowy zaniechano z uwagi na wysokie koszty.

W latach późniejszych (po 1973r.) rozwinęło się budownictwo jednorodzinne i wykonano szereg innych ważnych prac, jak sieć gazowa i telefoniczna.

Trzeba podkreślić, że osiągnięcia z lat 1965 – 1972 zawdzięczać należy radnym i działaczom społecznym, wręcz pasjonatom Osiedla. Do nich należą : Franciszek Wierzbicki, Tadeusz Luzar, Stanisław Karolak, Zdzisław Zenter, Kazimierz Koza, Jan Starzyński, Bolesław Kukawa oraz wielu innych, których nazwisk Józef Pokrywka nie zapamiętał. Autor wspomnień był w tym czasie przewodniczącym, RN osiedla, a w latach 1998 – 2002 przewodniczącym RG. Obecnie w RG zasiadają: Henryk Luzar, Jacek Parański, Marian Trojnacki i Irena Bratek.

WILKÓW 2009

Wilków w ostatnich latach ulega przeobrażeniom związanym z powstaniem samorządu. Przede wszystkim dla Wilkowa – Osiedla w 1995r. zmienił się zarządca subtancji mieszkaniowej. Dawne mieszkania zakładowe przekazane zostały do gminy, podobnie zarząd urządzeniami komunalnymi takimi jak: wodociągi czy kanalizacja. Wilków – Osiedle i Wilków – Wieś zostały podłączone do oczyszczalni miejskiej, co wiązało się z wybudowaniem sieci na wsi oraz odcinka kanalizacji do Złotoryi. Zlikwidowano uciążliwą oczyszczalnię lokalną w Wilkowie – Osiedlu. Podłączono Wilków i Wilków – Osiedle do sieci gazowej. Wieś otrzymała nowe oświetlenie oraz chodnik.

Modernizowane i remontowane są budynki komunalne: Szkoła Podstawowa i Gimnazjum. klub, świetlica wiejska, ośrodek zdrowia, chodniki i drogi. Powstaje nowa zabudowa mieszkaniowa zarówno na wsi, jak i na osiedlu.

Najnowsza inwestycja, którą gmina zamierza zrealizować w roku 2009, to budowa zespołu boisk w ramach programu „Moje boisko – Orlik 2012”.

BIBLIOTEKA

Istniejąca dotąd Biblioteka Zakładów Górniczych „Lena” stała się Biblioteką Publiczną Gminy Złotoryja Filia w Wilkowie Osiedlu. Kierowniczka biblioteki, Barbara Kurjata przejęła bibliotekę po Pani Obertyńskiej – pierwszej bibliotekarce w powojennym Wilkowie, a z dniem 04.05.1993 r. zatrudniono na tym stanowisku Bronisławę Zenter (na ½ etatu).

Przyjęty księgozbiór wynosił 4653 pozycje. W 1993 zakupiono 478 woluminów o wartości 10 milionów i 100 złotych. Zaprenumerowano do czytelni 9 tytułów czasopism. Zarejestrowano 239 czytelników i wypożyczono 3338 książek. Działalność kulturalna biblioteki zaczęła się rozwijać od 1994 r. kiedy to biblioteka otrzymała pełny etat. Odbywały się „Popołudnia z bajką” dla najmłodszych – pierwowzór dzisiejszej akcji „Cała Polska czyta dzieciom”, konkursy literackie typu „ Zagadka miesiąca” , konkurs na najlepszego czytelnika roku. Przy współpracy chętnej młodzieży organizowano w bibliotece „Andrzejki”. Do większych osiągnięć zaliczyć należy zorganizowanie turnieju szachowo – warcabowego pod nazwą „Mistrz Jesieni Wilków 1994 „. Nieocenioną pomocą wykazali się tutaj Bolesław Kukawa oraz Czesław Kozakiewicz. W ten sposób zawiązała się sekcja szachowa. Również pierwszy „Wieczór Kolęd” (19.12.1994) zainicjował w następnych latach uroczystość „Spotkanie Wigilijne” które odbywają się obecnie pod patronatem Urzędu Gminy Złotoryja. W roku 1994 stan księgozbioru wzrasta do 5450 woluminów, a czytelników jest 426.

Od roku 1995 do chwili obecnej biblioteka organizuje ferie zimowe dla dzieci i młodzieży. Jest to czas konkursów literackich i plastycznych, gier, zabaw na śniegu, pieczenie ciast, smażenia frytek (przy współpracy ze świetlicą), zabawy walentynkowe. Biblioteka od lat bierze udział w konkursie literackim na szczeblu gminnym i powiatowym. W roku 1998 uzyskała certyfikat.

Biblioteka była również czynnym współorganizatorem zabaw sylwestrowych (ze świetlicą), aktualnie wspólnie ze świetlicą organizuje: Dni Wilkowa, Dzień Seniora i Spotkanie Wigilijne.

W 2005 roku z okazji Dnia Bibliotekarza Bronisława Zenter otrzymała od Marszałka Województwa Dolnośląskiego odznaczenie Zasłużony Działacz Kultury. Od 2007 r. Biblioteka zaprasza Studio Teatralne „RT-RE” z Krakowa z przedstawieniami teatralnymi znanych i lubianych bajek, które cieszą się wielkim zainteresowaniem nie tylko najmłodszej publiczności. W 2007 r. przeprowadzono gruntowny remont biblioteki: wymianę okien, założono panele podłogowe, wymieniono oświetlenie. Rok później biblioteka wzbogaciła się o dwa komputery przekazane przez Urząd Gminy.

Obecnie czytelnicy mogą korzystać z księgozbioru oraz kącika czytelniczego zawierającego 15 tytułów czasopism, gier stolikowych, szachów, warcabów, puzzli. Na najmłodszych zawsze czekają kredki i kolorowanki oraz klocki i pluszaki.

PRZEDSZKOLE

Pierwsze przedszkole w Wilkowie-Osiedlu mieściło się na parterze budynku przy ulicy Piotra i Pawła 28 (obecnie zamieszkują je p. B. Chudzik i St. Stefanik). Jesienią 1952 r. przeniesiono je do budynku przy ulicy Kochanowskiego 2, w którym funkcjonowało nieprzerwanie do 1993 r. Dyrektorami były: Gontaszewska, D. Kozakiewicz, T. Grek.

30.04.1993 r. nastąpiła likwidacja przedszkola; w budynku pozostały dwie grupy dzieci 6 – letnich do czerwca 2000 r. Od 1.09.2000 r. Dzieci przeszły do oddziałów przedszkolnych przy Szkole Podstawowej.

Żłobek istniał do 1991 r. We wrześniu 1991r. utworzono w przedszkolu grupę żłobkową.

ZŁOTY KŁOS – KLUB „RUCH”

Tylko nieliczni i najstarsi mieszkańcy Wilkowa będą pamiętać, że w budynku pod numerem 54 działał niegdyś „Złoty Kłos”. Powiedzieć działał jest za mało jak na rozległą, intensywną i społeczną działalność. Nie było etatów, ludzie działali społecznie, lecz odbywały się odczyty, prelekcje, spotkania z ciekawymi ludźmi, potańcówki, kursy. Przez 3 lata działał i występował zespół wokalno – teatralny.

Kiedy w zimie zabrakło pieniędzy na opał, świetlica prowadziła działalność za zgodą niektórych mieszkańców w ich prywatnych mieszkaniach, np. rodziny Trojnackich i Murzyńskich.

Po pewnym czasie obiekt nie spełniał wymogów. Remontowi poddano ruderę po byłej piekarni (obecnie stolarnia J. Krzywaźni).

I ten obiekt nie spełniał warunków – pojawił się grzyb. Wówczas lokalizacja padła na starą oborę i stodołę przy obecnym domu nr 52 (koło kościoła). I znowu w większości w czynie społecznym obiekt uruchomiono (przełom 1969/70).

We wszystkich trzech miejscach klub działał dzięki ogromnemu zaangażowaniu społecznemu mieszkańców Wilkowa, szczególnie wsi. Najintensywniej pomagały następujące rodziny: Marchajowie, Klonowscy, Cukrowscy, Kramkowie, Handorowie, Murzyńscy, Kędzierscy, Olszakowie, Nowakowie, Trojnaccy, Sadochowie oraz rodzina Olszowych.

Ważną rolę odgrywali sprzedawcy w klubie – byli koordynatorami wielu działań. Były to następujące osoby: D.Śnieg – Taranek, H.Murzyńska, K.Dziuba, T.Machaj, S.Pres, M.Papaj, T.Iwanów, H.Sadoch, … Staszczak, E. Skrzypczak.

KLUB KULTURALNO-OŚWIATOWY „LENY” (1971-92)

W tych latach organizowane były różnego rodzaju imprezy, uroczystości, spotkania ze sławnymi ludźmi, zabawy okolicznościowe i zakładowe. Klub odwiedzili miedzy innymi: Daniel Olbrychski, Buczkowski (aktor krakowski), Alina Janowska, Andrzej Waligórski (satyryk wrocławski), Szecówka

cd. na stronie 16.

ciąg dalszy ze strony 15.

(sławny rysownik), Gromnicki (satyryk), Henryk Worcel (poeta), Kabaret "Elita", państwo Gucwińscy (cykl spotkań ze sławnym wrocławskim ZOO).

Odwiedzały Wików przeróżne objazdowe teatrzyki z repertuarem dziecięcym i dla dorosłych. Co miesiąc przyjeżdżało kino objazdowe. Organizowane były cykliczne: kiermasze książki; konkursy, plastyczne i czytelnicze; karnawałowe bale dla dzieci i dorosłych; obchody Dnia Dziecka; spotkania świąteczne przy choince; imprezy okolicznościowe np. sylwester, andrzejki, barbórka przy zespole klubowym, karczmy piwne i combry dla pracowników „Leny"; wyjazdowe imprezy plenerowe dla pracowników ZUG „ Lena" i ich rodzin; prowadzono cotygodniowe dyskoteki.

ŚWIETLICA

Od 1 października 1999 r. świetlicę w Wilkowie – Osiedlu prowadzi Elżbieta Banaszyńska. W 2006 r. budynek przeszedł kapitalny remont. W budynku tym mieści się również Gminne Infocentrum prowadzone przez Małgorzatę Tyndyk, Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej (dyrektor Janusz Mazurek), Biblioteka prowadzona przez Bronisławę Zenter oraz świetlica. Zajęcia w Świetlicy prowadzone są od poniedziałku do czwartku oraz w soboty.

W Świetlicy organizowane są imprezy środowiskowe, jak : Dni Wilkowa (organizowane rokrocznie - w tym roku po raz XIV), Dzień Seniora, Wieczór Wigilijny, spotkanie muzyków Filharmonii z Jeleniej Góry z młodzieżą gimnazjalną, spotkania z aktorami z teatru krakowskiego, Powiatowy Konkurs Recytatorski „Pegazik", urodziny, wesela, chrzciny, komunie, zabawy sylwestrowe, andrzejkowe, karnawałowe, zakończenie roku szkolnego klas VI-tych i III gimnazjalnych, zebrania władz gminy z mieszkańcami, ferie zimowe i letnie wakacje. Najnowszym zamiarem szefowej jest oczyszczenie jedynego w gminie kortu do tenisa ziemnego (przez dłuższy czas nie użytkowanego a tym samym zaniedbanego) i doprowadzenie go do stanu używalności.

MARIAN OBERTYŃSKI

Marian Obertyński urodził się 14 sierpnia 1902 roku we Lwowie. Po ukończeniu austriackiego gimnazjum we Lwowie studiował filozofię we Włoszech. W Polsce ukończył Studium Pedagogiczne i poświęcił się pracy w szkolnictwie. Pisał do prasy lwowskiej i krakowskiej, głównie na tematy sztuk pięknych i teatru. Rok 1945 zastał go na Śląsku: w Świeradowie-Zdroju.

W 1953 roku Rada Zakładowa ZG „Lena" zaproponowała Marianowi Obertyńskiemu stanowisko kierownika świetlicy. Chodziło o to, aby młodzieży górniczej umożliwić rozrywkę, rozbudzić zainteresowania kulturalne, „wpłynąć na ukształtowanie właściwego obywatela", a przede wszystkim uruchomić własny zakładowy teatr. Sama świetlica to dwie nieduże salki. Stan księgozbioru - 112 książek, stary fortepian, umeblowanie skromne i prymitywne.

Początki współpracy z miejscową młodzieżą nie należały do najłatwiejszych. Jednak informacja o zakładaniu zespołu teatralnego trafiła na podatny grunt. Pierwszy program wystawiono, z okazji „Barbórki". Dziewczęta tańczyły „Kapitana" i ilustrowały piosenkę „Niech żyje sport", chłopcy natomiast recytowali wiersze górnicze i przedstawili okolicznościową inscenizację. Potem przystąpiono do pracy nad prawdziwym teatrem. Wybrano sztukę odpowiednią do środowiska: „Chłopców z jednej rodziny" A. Baumgardtena. Rzecz o górnikach. Przypadła ona zespołowi do gustu, bo była o nich samych. Dekoracje robiła jeszcze wówczas stolarnia kopalni. Pracownicy nie wiedzieli, że teatr posiada inne wymagania niż budownictwo mieszkaniowe i zrobili ściany dekoracyjne z grubych, masywnych listew, drzwi z futrynami jak do mieszkania, a w zamkach po dwa zapasowe klucze.

Pierwszymi aktorami „Teatru Robotniczego ZG „Lena" (tak wówczas nazywał się zespół) byli: Maria Bielikówna, Barbara i Danuta Witkowskie, Władysław Ciastek, Bronisław Babiński i Kazimierz Białek. Z czasem grupa teatralna rozrastała się i umacniała. Coraz to nowi adepci sceny zgłaszali się do pracy. Tymi, którzy po grupie pionierskiej przystąpili do zespołu i wybili się na czołowe miejsca byli: Stanisław Olewacz - ślusarz w narzędziowni, Włodzimierz Halabowski - wiertacz przodowy i Henryk Deneka - maszynista chodnikowy.

Teatrowi niektórzy z grających mogli zawdzięczać też swoje osobiste szczęście. I tak: Tadeusz z „Ulany"- J. Skrzypczyk, grał z Grzeżkowiakówną – (Ulaną) tak przekonywająco, że pojął ją za żonę. Jan Pustelnik ze sceny wziął sobie za małżonkę K. Handorównę. Miecio Kurek swoją partnerkę Irenę Chłapik. Ponadto siedem dalszych par połączyła scena. Chyba niedużo jest zespołów dramatycznych, które mogłyby się pochwalić taką nierozerwalną spójnią. Szczytową rozpiętość zasięgu terenowego teatr (nosił już nazwę „Teatr Młodego Aktora przy ZG „Lena" w Wilkowie") osiągnął w roku 1960, gdy wystąpił na 22 scenach okolicznych, przeważnie wiejskich, rozrzuconych w czterech przyległych powiatach. Więcej pracował w terenie niż u siebie. Był prawdziwym daleko promieniującym ośrodkiem kultury, wytworzonej przez robotników i górników zakładu. Dziesiątki premier, setki wyjazdów, tysiące widzów, przeważnie rolników i robotników, oto plon pracy teatru w Wilkowie. Dzień 16. listopada 1960 roku był uroczystym dniem teatru. W PDK w Złotoryi odbyło się dwusetne przedstawienie zespołu.

Żelazny krzyż na Łysance. Fot. Jacek Kozieł

W ostatnich pięciu latach pracy Mariana Obertyńskiego *Teatr Młodego Aktora* powiększył się o nowych grających, w miejsce tych, którzy odeszli. Na czołowe miejsce wysunęły się dziewczęta: Halina Pstyga, Barbara Uchal-Rogowa, Helena Chodacz, Ela Szostak-Kazimierczak(?), Czesława Gorzelnik-Parańska. Z mężczyzn: Mirosław Parański, Józef Kotrys, Władysław Sawaniewicz i Bronisław Kazimierczak. Wszyscy występowali latami w bogatym repertuarze teatru.

ŻELAZNY KRZYŻ

Intrygującym i zagadkowym obiektem w krajobrazie i panoramie Wilkowa jest żelazny krzyż. Już prawie wszyscy wilkowianie wiedzą, że się znajduje gdzieś niedaleko. Tu jednak ich konkretna wiedza się kończy; zresztą nie tylko ich, lecz także instytucji turystycznych. Nie wiadomo było jak nazywa się wzniesienie, na którym ów krzyż stoi. Przede wszystkim jednak nie wiedziano, kiedy, z jakiej okazji i w jakiej intencji krzyż postawiono. Apele do osób, które mogłyby coś wiedzieć na łamach prasy lokalnej (Barwy Kaczawskie, Gazeta Złotoryjska) nie przyniosły żadnego efektu. Dalej były więc w obiegu najróżniejsze wersje. Dopiero zwrócenie się do kilku przedwojennych mieszkańców Wilkowa oraz ogłoszenie apelu w prasie niemieckiej przyniosły zwrot w poszukiwaniach. Nie ma pewności, czy jest to zwrot we właściwym kierunku. Jest to jednak, jak dotąd, jedyny naoczny świadek, który podaje ponadto informacje dodatkowe uwiarygodniające jego wersję. Podajemy ten fragment listu w dosłownym tłumaczeniu: *„...Żelazny Krzyż w Wilkowie został postawiony między rokiem 1931 a 1936 przez hrabiego von Lüttichau z Prusic, na chwałę bożą. Mogę tak twierdzić, ponieważ osobiście w tym uczestniczyłam. Urodziłam się w styczniu 1920 roku, a do mojego ojca należał las wzdłuż granicy stromego zbocza. Pewnego dnia przyszedł do mojego ojca hrabia von Lüttichau i zwrócił się do niego mówiąc: chciałbym na najwyższym wzniesieniu swojej posiadłości postawić na chwałę bożą żelazny krzyż. Ponieważ jednak od strony jego posiadłości nie mógł doprowadzić na wzgórze stosownego materiału, zapytał ojca, czy nie wyraziłby zgody, aby mógł tego dokonać od jego strony. Naturalnie, mój ojciec zgodę wyraził. Następnie wszystko znowu uporządkowano. Mój ojciec nazywał się Willy Frömberg i posiadał w Wilkowie restaurację, tzw. karczmę sądową (Gerichtskretscham). U nas odbyła się później uroczystość związana z odsłonięciem krzyża. Ja również byłam przy tym obecna i słyszałam przemowę hrabiego oraz innych osób. Niestety, nie znam dokładnej daty /.../ Christa Fleischer, 25.IX.2006".*

Biorąc powyższe pod uwagę, a nade wszystko to, że autorka listu jest jedyną osobą, która podaje, że była naocznym świadkiem, autor przyjmuje to jako początkową fazę wyjaśniania historii krzyża. Historycznie rzecz się zgadza: właścicielem Górnych Prusic był w tym czasie graf Guido von Lüttichau. Również istnienie w Wilkowie owego Gerichtskretscham oraz W. Frömberga potwierdzają inne dokumenty.

Potwierdzałyby się zatem przypuszczenia tych osób, które wskazywały na „niemiecką robotę" (np. Władysław Michalik). Być może jednak rację mają również ci, którzy usilnie twierdzą, iż krzyż stawiano po wojnie. Nie jest bowiem wykluczone, że po wojnie wzmacniano podstawę krzyża budując betonowy cokół (bardzo niestarannie wykończony). Nie można też wykluczyć, że w czasie wojny i wzniesienie, i krzyż, były wykorzystywane do celów militarnych (trwały tu walki i bardzo wiele żołnierzy poległo).

Dokonanie bardzo dokładnych pomiarów krzyża zawdzięczmy Janowi Tuchowskiemu, wspomaganemu przez Mariana Kuksa.

ROZMAITOŚCI

• W latach 1968-69 – 1975-76 w budynku przy ulicy Kochanowskiego 1 (obecny klub) mieściła się administracja i biuro meldunkowe, gdzie renciści i emeryci płacili czynsz. Pracownicą była Zdzisława Zenter (Surowiecka).

• W latach 70 – tych w budynku ośrodka zdrowia dyżury pełnił dzielnicowy. Również w latach 70-tych była na Osiedlu funkcja opiekuna społecznego, którą pełniła Pani Maj, a następnie Bolesław Zimny.

• Dużym autorytetem jako lokalni „redaktorzy" cieszyli się M. Klejman oraz Jan Figlus. Pomagali redagować mieszkańcom różne pisma urzędowe, pisali listy do redakcji gazet (np. „Konkrety"). J. Figlus napisał wierszem piękną historię kościoła w Wilkowie.

• Kompletny poczet wilkowskich sołtysów przedstawia się (wg M. Korobajło) chronologicznie następująco: 1.Bolesław Wikliński, 2.Stefan Trojnacki, 3.Zygmunt Machaj, 4.Zbigniew Lada, 5.Adolf Nikiel, 6.Czesław Staniurski, 7.Maria Korobajło.

Natomiast przewodniczących osiedla E. Banaszyńska ustaliła następująco: 1.?. Kazimierczak, 2.Zbigniew Center, 3.Bolesław Zimny, 4.Stanisław Pacha, 5.Irena Majchrzak, 6.Elżbieta Banaszyńska.

Materiał opracowali: Alfred Michler oraz mieszkańcy Wilkowa, Elżbieta Banaszyńska, Małgorzata Czuber, Czesław Kozakiewicz, Bronisława Zenter, Maria Korobajło.

Zamkowe klimaty

Bogdan Wajberg, adiunkt ASP w Łodzi

Stare mury Grodźca gościły *setki ludzi, folklor mieszał się* ze zwiedzającymi. Atrakcji było *bez liku, można było nasycić żołądek pierogami, hreczniakami, babką ziemiaczaną, pasztetem, swojskim chlebem ze smalcem i ogórkiem, niekoniecznie unijnym, a na deser - przepysznym ciastem, zresztą nie sposób wszystko wyliczyć*, dzieci mogły *wypróbować swych sił na bungee, przygotowane słomiane tarcze zmuszały uczniów-łuczników do umiejętnego trafiania w sam środek tarczy.*

Biesiadnicy sycili uszy *śpiewem kapel ludowych z pobliskich okolic. Na straganach można było nabyć wydawnictwa dotyczące historii zamczyska, pamiątki z czasów świetności Grodźca. Wydawnictwa TMZZ za sprawą Anny Chrzanowskiej również znalazły się w tym towarzystwie, chętnie kupowano Barwy Kaczawy, Echo Zotoryi, pocztówki przedstawiające n*asze miasto w starej i współ*czesnej scenerii. Kontakty z ciekawymi ludźmi okazały się bardzo interesujące a znajomość języka obcego stała się bardzo przydatna. Ania Ch. nawiązała kontakt z Niemką - biologiem, która zaoferowała współpracę z TMZZ. A* przygoda z wulkanistą wywarła na nas duże wrażenie. Przedstawię to wydarzenie w skrócie:

Do naszego stoiska podeszło dwoje dorosłych ludzi, żywo interesowali się geologią. „Barwy Kaczawy" zainteresowały ich. Opowiadali o wygasłych wulkanach, które obejrzeli. Odwiedzili Ostrzycę, Wilczą górę. Dokładnie oglądali każdy rysunek, czytali opisy. Szukali czegoś? - szukamy dla syna wygasłych wulkanów - zwierzyli się. Ania zachęciła, aby sam zainteresowany poszukał artykułów, które go interesują. Jakie było nasze zdziwienie gdy do stolika podszedł dziesięciolatek, szczupły, ciemnowłosy chłopiec. Przeglądał „Barwy", oczy z ciekawością śledziły każdą kartkę, dłuższą chwilę skupiał się na rysunkach, przedstawiających warstwowy układ ziemi, mapki geologiczne, rzucał terminami, poprawiał rozmówców, którzy próbowali przekręcić nazwę .Ten zapalony znawca wulkanów mógłby zaskoczyć wiedzą niejednego z dorosłych. Chylę czoła przed jego wiedzą. Każdy weekend z rodzicami wędruje szlakiem wygasłych wulkanów. Dobrze, że rodzice akceptują jego hobby, ma w nich oparcie i może spełniać swoją pasję.

Za murami zamku odbywał się plener rzeźbiarski czyli " I Rzeźbiarskie Sympozjum w kamieniu w Grodźcu". Słońce uwodziło artystów, mur rzucał cień na zieloną murawę, okrągłe drewniane kloce stanowiły stół dla piaskowca, który w mozolnym trudzie artysty stawał się rzeźbą. Na kształt dzieła wpływ miała w dużej mierze wyobraźnia, precyzja i umiejętność władania narzędziami .

Materiał*em do tworzenia rzeźb był piaskowiec biały* i czerwony. W ruch poszły *dłuta, młoty, szlifierki. Sprężarka swym głośnym wyciem zgłaszała gotowość do współpracy. W chmurach białego pyłu zwinnie pracowali młodzi ludzie, ujarzmiając kamień, pod okiem mistrzów narzędzie stawało się posł*uszne, a kamień poddawał *się obróbce.*

Ale dokładniej o plenerze opowiedział adiunkt Bogdan Wajberg

Organizatorem Sympozjum jest Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińkiego w Łodzi, zaproszeni zostali studenci i pedagodzy z Akademii w Łodzi, z ASP w Bratysławie, z ASP w Ostrawie. Współpracujemy z tymi uczelniami. W jesiennej porze ponownie spotykamy się w Worońsku w Centrum Rzeźby Polskiej. W ramach programu dydaktycznego zaplanowaliśmy dziesięciodniowy pobyt w Grodźcu, co jest nagrodą i wypoczynkiem przed sesją egzaminacyjną dla uczestników. Grodziec stał się w naszym życiu uroczą niespodzianką. Jesteśmy zachwyceni otoczeniem, atmosferą, jaką stworzył nam kasztelan Zenon Bernacki.

Bogdan - znawca wulkanów z rodzicami

Część z nas to profesjonalni artyści, jest z nami profesor Wagner, a pozostali to studenci od I roku studiów do dyplomowego. Studenci realizują projekty wcześniej omówione i przygotowane przed Sympozjum. Piaskowiec nie jest łatwym tworzywem do obróbki. Jeśli pierwszy raz się z nim spotykamy, a technologia formy rzeźbiarskiej jest dla nas wielką niewiadomą, nie możemy liczyć, że doznamy inspiracji miejscem i przestrzenią. Wszystko musi być przemyślane i zaplanowane, a warsztat- solidnie opanowany. Nie jest to ciężka praca. Rozłożona w czasie wymaga indywidualnego rytmu. Każde zamierzenie, które przywieźliśmy z ASP, musi być sfinalizowane realizacją, następnie eksponowane w przestrzeniach zamku w Grodźcu. Rzeźba refleksyjna powinna się pojawić w naszym otoczeniu, w parkach, na skwerkach, każdy powinien się z nią oswoić pomimo brutalnej użytkowości czasami. Od października rzeźby z pleneru można oglądać na zamku. Podróżujemy też po okolicy. Odwiedziliśmy gospodarstwo agroturystyczne i Złotoryję. Uważam, że to miasteczko historyczne, które oddycha nową rzeczywistością poprzez modernizację i doskonalenie całej struktury miejskiej. Grodziec jest punktem wypadowym tak jak dawno temu był zamkiem rabusiów, teraz jest zamkiem rabusiów turystycznych, którzy będą krążyć po okolicy nie plądrując, tylko zwiedzając i zabierając skarby wspomnień .Tak jak my.

Kurz unosił *się w powietrzu, waleczni rycerze pokazywali* zwinność *i siłę w walce, dworzanie w strojach z epoki przechadzali się dostojnie po dziedzińcu. Nie wiem dlaczego, ale na szyi jednego z gości znalazł się pyton, szkoda mi było gada, bo raczej powinien pełzać sobie po trawie. Muzyka średnio*wieczna rozbrzmiewała radośnie *i wpadała w zamkowe krużganki.*

Jana Kaluża

Złotoryjskie zaułki

Tomasz Gilowski

Dzisiaj coraz łatwiej jest zrobić udane technicznie zdjęcie, wystarczy nacisnąć przycisk w aparacie fotograficznym, czy też telefonie, i mamy już całkiem ładny i wyraźny obrazek. Coraz trudniej jednak o dobrą fotografię. Fotografię, czyli zdjęcie, które niesie za sobą określone emocje. Obraz, który zapada w pamięci, który jest inny od tych tysięcy, który widzimy codziennie w naszych komputerach, na różnych galeriach internetowych. Ponieważ zdjęć jest coraz więcej, obraz musi być szczególny w swojej formie, aby był zauważony. Każdy, kto chwyta za aparat, nie tylko przy rodzinnych okazjach, chciałby, aby jego zdjęcia miały to coś, sprawiały, że inni na chwilę się zatrzymają, otworzą z podziwu usta. Samemu trudno jednak się rozwijać, pobudzać do poszukiwań, nie mówiąc już o krytycznym spojrzeniu na to, co się robi. Z tego właśnie pragnienia narodziła się idea, żeby zebrać tu w Złotoryi grupę ludzi, która będzie nawzajem wspierać siebie w swoich fotograficznych poczynaniach. Owoc już jest w postaci Złotoryjskiego Klubu Fotograficzny. Ktoś zada pytanie: po co jakiś klub, po co się formalizować, wchodzić w jakieś dziwne struktury? Po części wyjaśniłem to już wcześniej. Natomiast bardzo ważne jest, że ktoś chce robić coś lepiej - stale się uczyć. Człowiek jest zwierzęciem stadnym, a w takim fotografującym stadzie nauka idzie szybciej. Jeden drugiemu coś podpowie, jeden od drugiego coś podpatrzy. Najlepszym przykładem są nasze cotygodniowe plenery. Jedziemy w jedno miejsce i podczas naszych czwartkowych spotkań, wybierając zdjęcie tygodnia, możemy zobaczyć, jak

Przemysław Bartkiewicz

można tę samą rzecz sfotografować zupełnie inaczej. Inna sprawa, gdy się wie, że nasze zdjęcie podlegać będzie ocenie, staranniej podchodzimy do samego procesu robienia zdjęcia. To nie sztuka przywieźć z jednego wyjazdu kilkaset obrazków – sztuka przywieźć jeden, którym można się pochwalić.

Złotoryjski Klub Fotograficzny nie powstał dlatego, żeby funkcjonować tylko dla siebie. Oglądając różnorodne wydawnictwa tworzone w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej jak również przy udziale władz samorządowych naszego miasta czy powiatu, często obserwujemy, że jakość umieszczanych tam zdjęć jest, powiedzmy sobie szczerze, taka sobie. Stąd też pomysł, aby Klub nasz zaangażować w lokalne procesy wydawnicze. Jeżdżąc w plenery, które głównie odbywają się na ziemi złotoryjskiej, pracując nad kolejnymi wystawami, sprawimy, że z czasem zdjęć o różnorakiej tematyce będzie przybywało i mam nadzieję, że z tego naszego archiwum będzie można coś ładnego w przyszłości wybrać.

Natomiast skąd wzięła się idea zorganizowania wystawy o „Złotoryjskich zaułkach”. Sam pomysł, aby obfotografować miejsca w Złotoryi nie zawsze najbardziej wyeksponowane, nie jest ani oryginalny ani najnowszy. Gdy padła więc propozycja, aby na dni Złotoryi Klub zorganizował jakąś wystawę, temat już był mocna zawężony. Muszę przyznać, że może ze zbyt dużym optymizmem podeszliśmy i do czasu i do tematu, ale ponoć rzeczy trudne najlepiej się tworzy, gdy na starcie nie zdaje się sobie sprawy ze skali trudności. No bo niby cóż łatwiejszego niż zrobić zdjęcie w mieście, w którym się mieszka od wielu lat. Ja powiem inaczej – nie ma chyba nic trudniejszego.

Gdy zaczęły napływać pierwsze zdjęcia, przeraziliśmy się, że na wystawie nagle może zaistnieć Złotoryja brzydka, brudna i zaniedbana. Piękną modelkę, jaką niewątpliwie jest nasze miasto - fotografować jest bardzo trudno, aby nie wypadła banalnie. Brzydota, jakby lepiej wychodzi na zdjęciach. Poza tym, sam w sobie wyraz „zaułek” ma w znaczeniu pierwiastek zaniedbania. Myślę jednak, że większość fotografii ukazuje to ukryte w zaułkach piękno naszego miasta. I jeżeli nie są to jeszcze fotografie doskonałe, tym bardziej mamy świadomość, że jeszcze wiele pracy jest przed nami. Na pewno nie jest to nasza ostatnia wystawa o Złotoryi. Mam nadzieję, że zdobyte podczas organizacji tej wystawy doświadczenie zaprocentuje w przyszłości.

Chętnie usłyszymy głosy krytyczne. Wystawa powstała przy wydatnej pomocy Józefa Banaszka, który podpowiadał, oprowadzał nas po różnych miejscach a wreszcie wyeksponował efekt naszej miłej pracy. Spośród ponad 150 zdjęć wybraliśmy 53, które można oglądać w holu siedziby Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. To dużo i mało zarazem, bowiem ciekawych, wartych uwiecznienia miejsc w naszym mieście jest znacznie, znacznie więcej.

Łukasz Rycąbel

Otwarcie wystawy nie zgromadziło tłumów, dzięki jednak kameralnej atmosferze autorzy zdjęć mogli poczuć się swobodniej i nawiązać bliższy kontakt z publicznością. A było i jest o czym dyskutować. Z głosów, które docierają, okazuje się, że udało nam się pozytywnie zaskoczyć wielu oglądających. Często padają pytania o konkretne miejsca, ukazane niejednokrotnie w zupełnie nieoczekiwany sposób. Przy okazji zorganizowaliśmy szybki konkurs na najlepszą pracę. Zwyciężyło zdjęcie autora niniejszego tekstu, przedstawiające zaplecze kamieniczek przy Rynku, widziane od strony budowy przy ul. Szkolnej, co poczytuję raczej za kurtuazję, bowiem bardziej podobało mi się kilka innych fotografii. Drugie miejsce zajęła fotografia Dagmary Kubickiej również z okolic ul. Szkolnej a dalsze pozycje: prace Roberta Pawłowskiego, Przemka Bartkiewicza i Ryszarda Masłowskiego.

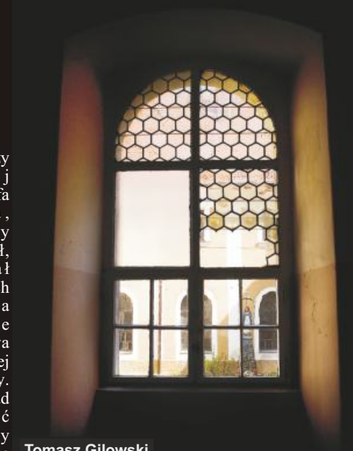
Tomasz Gilowski

Ryszard Masłowski

Łukasz Rycąbel

Przy okazji otwarcia wystawy ogłosiliśmy również wyniki konkursu na najlepszą okładkę „Echa Złotoryi”. Pierwsze miejsce zdobyła okładka z numeru 33 (8/2008) ze zdjęciem autorstwa Łukasza Rycąbela. Kolejne miejsca zajęły okładki z numerów 29 (4/2008), 36 (11/2008) i 13 (1/2006) autorstwa niżej podpisanego. Tym razem był to efekt niedopuszczania przez niżej podpisanego innych autorów, do umieszczania swoich prac na okładkach „Echa Złotoryi”, a na poważnie - brakiem, mimo wielokrotnych nawoływań, chęci prezentacji swojej fotograficznej twórczości w ten właśnie sposób przez mieszkańców Ziemi Złotoryjskiej. Mam nadzieję, że powstanie Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego wniesie tutaj pewną odmianę, bo ile można oglądać zdjęcia jednego tylko autora. Wśród uczestników „Konkursu na najlepszą okładkę „Echa Złotoryi”” rozlosowano nagrody w postaci plakatów ze zdjęciami z wybranych okładek a także zdjęcia tychże okładek w antyramach. A oto lista obdarowanych:

1. Aneta Chojnecka
2. Ewelina Szura-Burak
3. Ewa Marek
4. Aneta Babiak
5. Bartosz Jeziorski
6. Magdalena Przydryga

Istnieje możliwość zakupu zdjęć z okładek „Echa Złotoryi” w siedzibie TMZZ.

Złotoryjski Klub Fotograficzny już pracuje nad kolejnymi projektami. Na pewno jedna z wystaw, która powstanie, będzie dotyczyć prezentacji fotografii, które powstają na organizowanych przez nas plenerach, czy też zebranych zdjęciach z cyklu „Zdjęcie tygodnia”. Tymczasem zapraszamy wszystkich miłośników fotografii do naszego Klubu. Spotkania odbywają się w każdy czwartek (chyba, że akurat wyjedziemy na plener) w siedzibie TMZZ o godzinie 17.00. Więcej informacji o Klubie można znaleźć na stronach internetowych: foto.tmzz.pl.

Robert Pawłowski

Robert Pawłowski

Bartosz Jeziorski

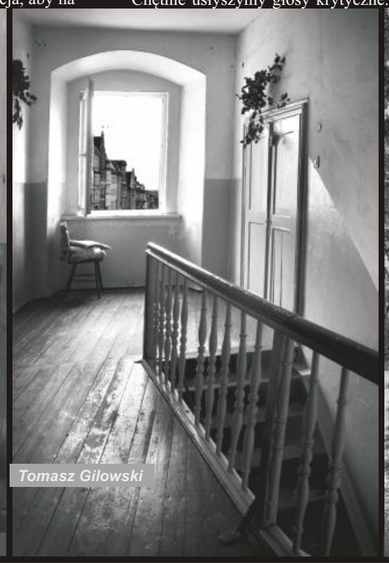
Tomasz Gilowski

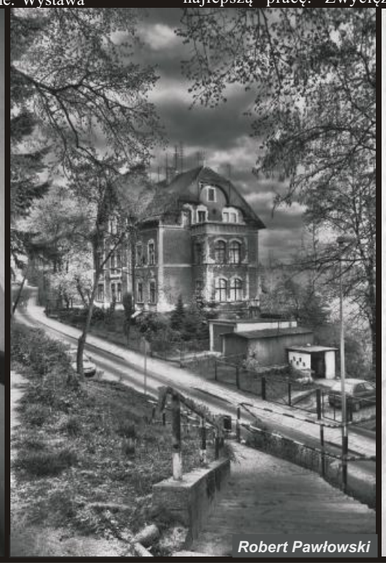
Robert Pawłowski

Dagmara Kubicka

Przemysław Bartkiewicz

Przemysław Bartkiewicz

Cuda pani Marii

Esencja kobiecości. Kobieta nowoczesna: kierowca, internautka, wspaniała strażniczka ogniska domowego, czarodziejska celebrantka uroczystości familijnych, kochana babunia Igorka i Oskarka. Wyjątkowo wrażliwa na ludzką krzywdę. Skromna i dyskretna. A jakie piecze ciasta! – palce lizać. Pani Maria Danuta Gawlik.

Rodzina

Pani Maria legitymuje się rodowodem kresowym. Nie posiada wielu pamiątek i być może dlatego szczególną troską otacza tekturową walizkę, z którą Jej rodzice przeżyli przymusowe roboty w Niemczech, a po wojnie opuszczając Kresy, zapakowali do niej część bagażu.

Wraz z mężem wybudowali dom – rodzinne gniazdo, w którym wyrosły kochane córki Monika i Ewelina. Rodzinie przybyło dwóch zięciów - Paweł i Rafał oraz dwoje wnucząt - Oskar i Igor.

Haft płaski

Kilkanaście lat temu Pani Maria zainteresowała się haftem płaskim richelieu. W Złotoryi zapanowała moda na robótki ręczne. Panie organizowały się w grupy i dziergały. Nawet jednego roku ZNP zorganizował w klubie Bacalarus wystawę wspaniałych serwet, zazdrostek, pościeli, odzieży, obrusów i … To była imponująca produkcja!

Pani Maria nie marnowała czasu. Na Jej hafty czekały strojnisie. Córki wyróżniały się niepowtarzalnymi ubrankami, a przyjaciółki chełpiły słodkimi serwetkami.

Dom Pani Marii nabrał odświętnego wyglądu przybrany haftowanymi i krochmalonymi obrusami i serwetami. A kiedy w tle pachniało domowym ciastem, uśmiechał się świat.

Haft krzyżykowy

Pewnego dnia Pani Maria przeglądała fotografie, wśród których leżało zdjęcie Jana Pawła II. Nie mogła oderwać oczu. A kiedy tak tkwiła w zamyśleniu, poczuła, że jest gotowa. Specjalistycznej firmie zleciła wykonanie wzoru hafciarskiego. Chwyciła swoje magiczne pudełko, wybrała odpowiedni kawałek kanwy i sięgnęła po igłę.

Kiedy siedzi skupiona nad kawałkiem tkaniny wygląda tak, jakby świat wokół Niej zatrzymał swój bieg. Palce sprawnie pulsują po naprężonym materiale a kolorowe nici niemal ożywają w wyścigu o pierwszy wybór hafciarki.

To była pierwsza praca wykonana haftem krzyżykowym. Wówczas jeszcze nie mogła poradzić sobie z trzymaniem tkaniny w ryzach. Ale końcowy efekt był zadawalający.

Dokształcanie

Pani Maria od 3 lat zgłębia tajniki komputera i Internetu. Wykorzystuje programy do tworzenia nowych wzorów. Jednakże śledzi nowości i nie gardzi katalogami i wzornikami. Corocznie na przełomie września i października uczestniczy w „Festiwalu Haftu i Rękodzielnictwa" w Łodzi. Jest to dodatkowe wyrzec zenie, bowiem uczestnicy ponoszą wszystkie koszty. Podczas kursów złotoryjanka poznała frywolitkę i pergamano. Frywolitkowe cudeńka trafiły do wielu osób, a były to: różańce, pisanki, ozdoby choinkowe i inne. Pani Maria w technice pergamano tworzy kartki okolicznościowe. Technika polega na tłoczeniu wzoru w specjalnym pergaminie.

Wystawy

Częsty udział w wystawach umożliwia kontakt z wysokiej klasy specjalistami. Porównywanie dorobku własnego z dorobkiem innych twórców dodaje wiary we własne siły i umiejętności, także daje szansę pokazania się szerszemu gronu ludzi. Pani Maria ma okazję spojrzeć na swoje prace z dystansu, wmieszać się w tłum, obejrzeć z pozycji widza. Artystka bardzo sobie ceni komentarze zainteresowanych wystawą, chętnie odpowiada na pytania dotyczące warsztatu i poszukiwania inspiracji.

Dzieło jako dar

Choć Pani Maria bardzo lubi swoje prace, które tworzą domową galerię, potrafi się z nimi rozstać. Jeden z obrazów wzbogacił aukcję charytatywną Stowarzyszenia „Babiniec" z Legnicy. Serdecznie odpowiedziała na prośbę złotoryjanki zbierającej na endoprotezę, oddając jeden z obrazów na aukcję. Zasiliła festyn charytatywny zorganizowany przy kościele pw. NNMP portretem Jana Pawła II, a ostatnio - podczas balu charytatywnego (organizowanego na rzecz kościoła pw. Józefa Robotnika na Kopaczu) do fantów dodała kolejny swój obraz.

Dar dla TMZZ

Kiedy Pani Marii złożono propozycję wykonania makaty - na wzór ręcznika ze „złotymi myślami" stanowiącego eksponat w Domu Śląskim w Niemczech - wyraziła zgodę. Według fotografii oryginału w języku niemieckim wykonała wersję polskojęzyczną. Autorskie opracowanie liter, także ornamentu z motywem arabeski dało nowe dzieło, które powinno niejednego zbudzić do głębszych refleksji. Makata została usztywniona i podszyta tkaniną. Sztandarowe wykończenie sprawia, że dzieło odbiega od oryginału, a jedynie powtarza ponadczasową treść. Makata została uroczyście przekazana na walnym zebraniu sprawozdawczym TMZZ.

Prace Pani Marii Danuty Gawlik w latach 2002-2007 wystawiano szesnastokrotnie. Zapewne na najbliższej i dla makaty znajdzie się miejsce.

Danuta Sosa

Śląski ręcznik głodowy

Pycha rodzi wojnę

W połowie stycznia 1996 roku w „Haus Schlesien" (śląski dom) pod Bonn odbyły się rozmowy w sprawie zorganizowania w złotoryjskim LO klas dwujęzycznych. Złotoryję reprezentowali tam: ówczesny burmistrz Kazimierz Zwierzyński, dyrektor LO Włodzimierz Wójtowicz oraz reprezentujący TMZZ Alfred Michler. Spotkanie i rozmowy były owocne, gdyż tu praktycznie „stron" nie było: zarówno strona niemiecka, jak i polska chciały powstania klas. I klasy takie powstały – z pożytkiem dla naszej młodzieży, a także szkoły. „Haus Schlesien" to nowoczesny kompleks naukowo – hotelowo – rozrywkowy, który powstał po remoncie i modernizacji dużego, starego, typowego, „bauerowskiego" gospodarstwa rolnego. W starej stodole, oborze, stajni i budynku mieszkalnym, znajdziemy dziś hotel, restaurację, bibliotekę oraz muzeum. Właśnie do zwiedzenia tego muzeum zostali zaproszeni wszyscy uczestnicy rozmów. Tam po raz pierwszy zobaczyłem w „Hungertuch" – prostą makatkę wykonaną techniką „Blaudrucku". Cóż takiego osobliwego jest w owym „ręczniku głodowym", że natychmiast zrobiłem jego zdjęcie, a jak zobaczyli go moi koledzy (głównie R. Gorzkowski, J. Banaszek, A. Borys) uznaliśmy, iż taki eksponat mógłby, a nawet powinien, być w naszym Ośrodku TMZZ. „Molestowaliśmy" Marię Gawlik, którą słusznie uznaliśmy jako mającą „papiery" na wykonanie kopii tej makatki. Jej wartością jest nie jakiś drogocenny materiał przetykany złotą lub srebrną nitką – bo jest to najzwyklejsze sukno. Tylko takie było bowiem dostępne na Śląsku w dobie ciężkiego kryzysu lat 1929-33.

Treść oryginału jest w języku niemieckim. W tłumaczeniu na język polski brzmi następująco:

Nędza rodzi pokorę
Pokora rodzi pilność
Pilność rodzi bogactwo
Bogactwo rodzi pychę
Pycha rodzi wojnę
Wojna rodzi nędzę

Tak w koło toczy się historia. Ale przecież niektóre ogniwa możemy chyba pominąć – czy ten fatalny krąg jest nieuchronny? Kogo te proste i mądre słowa nie zmuszają do zastanowienia? Interpretowanie takich słów w imieniu /za/ kogoś byłoby nadużyciem – niech każdy pomyśli i rozważy, czy Ślązacy lat 30. XX wieku właściwie i trzeźwo patrzyli na świat i życie.

Alfred Michler

Z „Echem Złotoryi" odkrywamy tajemnice miasta

W sobotę 23 maja odbyła się piesza wycieczka pod hasłem: Z „Echem Złotoryi" odkrywamy tajemnice miasta. Z roli przewodnika świetnie wywiązał się Józef Banaszek.

W programie wycieczki było najpierw zwiedzanie podziemi Bacalarusa, oraz wystawy klubu fotograficznego „Złotoryjskie zaułki" mieszczącej się w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Z wszystkich budynków publicznych w naszym mieście jedynie „Bacalarus" posiada kilka ciekawych podziemnych pomieszczeń, połączonych niegdyś być może nawet z korytarzami wychodzącymi poza mury obronne. Wszystkie fotografie na wystawie zasługują na uwagę, a szczególnie te, które pokazują mało znane zakątki Złotoryi. Następnie grupa skierowała się do holu kamienicy przy pl. Orląt Lwowskich, gdzie obejrzała zabytkowe malowidła z końca XIX w przedstawiające Wilczą Górę oraz Górę Mieszczańską. Na obu tych wzniesieniach widać tutaj obiekty, które już nie istnieją, np. pomniki, schroniska i gospody.

Kolejnym punktem wycieczki było zwiedzanie strychu i małej wieży kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Jeśli powszechnie znana jest duża wieża kościoła Mariackiego, to niewiele osób ma okazję przejść się drewnianymi pomostami strychu kościelnego i podziwiać „od góry" konstrukcję sklepień świątyni. We wnętrzu małej wieży nie ma zabytkowych urządzeń, głównie dlatego, że była rozbierana i odbudowywana w XVII i na początku XX wieku. Po wyjściu ze świątyni grupa zatrzymała się pod pomnikiem Valentina. Trozendorfa. Uczestnicy wycieczki usłyszeli tutaj historię pierwszego i drugiego pomnika tego najwybitniejszego złotoryjanina. Udaliśmy się następnie pod złotoryjskie fontanny Delfina i Górników. Przy Fontannie Górników wysłuchaliśmy krótkiej historii monumentu i trzech tablic upamiętniających udział tutejszych mieszczan w bitwie pod Legnicą w 1241 roku. Wycieczka zakończyła się przy kościele św. Jadwigi, gdzie omówiono dzieje i symbolikę kapliczki słupowej z końca XV wieku i figury Św. Jana Nepomucena z 1732 roku.

W wycieczce wzięła udział prawie czterdziestoosobowa grupa młodzieży szkolnej, przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, Stowarzyszenia Przyjaciół Złotoryi AUREUS MONS oraz inne osoby zainteresowane historią naszego miasta.

Podczas wycieczki kilkakrotnie wspomniano o złotoryjskich podziemiach i tunelach ucieczkowych, które prowadziły m.in.za mury miejskie i do ważniejszych budowli w mieście. Z pewnością warto byłoby odnaleźć, odrestaurować i udostępnić choć fragment dawnych lochów a także częściej organizować różne spotkania w podziemiach „Bacalarusa".

Przemysław Markiewicz, Waldemar Dmitrowski

Bazaltowa ścieżka rowerowa

W dniu 19. maja 2009 r. odbyło się spotkanie grupy roboczej wyłonionej w 2007 r. w sprawie budowy ścieżki rowerowej. Wśród przybyłych gości znaleźli się m.in. wójt Maria Leśna, starosta Józef Sudoł, przewodniczący Rady Miejskiej Andrzej Zając, z-ca dyrektora ds. technicznych *PGP Bazalt* Andrzej Gonciarz, kasztelan zamku Grodziec Zenon Bernacki oraz gospodarz *Złotego Lasu* Ryszard Nalepka. Pozostali z 11. uczestników to członkowie TMZZ.

Spotkanie odbyło się po znacznej przerwie, ale czas nie został zmarnowany. Wszystkie gminy potwierdziły chęć udziału w budowie ścieżki, wyznaczając swoich pełnomocników. Chęć udziału w programie wyraziło również Starostwo Powiatowe w Złotoryi.

W roku 2007 trwały prace „grupy turystycznej", która zaproponowała projekt trasy ścieżki rowerowej: małej pętli wokół Wilczej Góry i dużej pętli okalającej Wilczą Górę, Ostrzycę i Grodziec. W pracach „grupy turystycznej" udział wzięli przedstawiciele TMZZ: Piotr Norko, Tadeusz Szapował, Mirosław Szcześniak, Andrzej Frąckiewicz i Aleksander Borys. Dzielnie woził ich po leśnych duktach i polnych drogach Mirosław Mileszko. Wszyscy wykazali się znakomitą znajomością terenu, pamiętając różne dróżki, kamienie, skrzyżowania – pomocne w projektowaniu trasy ścieżki.

Łatwo było wyznaczyć trasę wokół Wilczej Góry, znacznie trudniej jednak było wyznaczyć trasę dużej pętli. To zrozumiałe. Wyznaczanie trasy, choć czasem męczące, ukazało piękne krajobrazy Ziemi Złotoryjskiej i utwierdziło nas w słusznym, choć trudnym, zamiarze budowy ścieżki rowerowej. Firma Colas Zakład Wilcza Góra, na terenie której przebiega znaczna część ścieżki rowerowej, wyraziła zgodę na udostępnienie terenu pod budowę. Bardzo dziękujemy Colasowi. Firma Geo-Gold na zlecenie TMZZ wykonała projektową dokumentację geodezyjną.

Obecnie przygotowujemy się do wykonania projektu technicznego. Trudno znaleźć wykonawcę projektu, bowiem do wykorzystania są różne fundusze unijne i wszyscy projektanci mają pełne ręce roboty. Jesteśmy jednak dobrej myśli. Uczestnicy spotkania w toku rzeczowej dyskusji przedstawiali trudności związane z budową ścieżki.

Z wielką uwagą, ale i życzliwością rozpatrywano wszystkie za i przeciw. Rozważano możliwość przedłużenia trasy ścieżki do Leszczyny. Trudności są – to oczywiste. Ale wszystkie trudności są możliwe do pokonania w ramach wspólnego działania. Natomiast efekty powstałe po wybudowaniu ścieżki będą bardzo wartościowe. Wzrośnie bezpieczeństwo dzieci, młodzieży i dorosłych korzystających z trasy ścieżki. Poprawi się stan zdrowia: na rower lub na spacer wybiorą się Ci spośród nas, którzy bez ścieżki tego by nie zrobili. Wzrośnie uspołecznienie i świadomość obywatelska: na spacery ścieżką będą mogli chodzić razem mieszkańcy ulic lub całych miejscowości, a przede wszystkim rodziny. Wzrośnie atrakcyjność Ziemi Złotoryjskiej i rozwój turystyki. A rozwój turystyki jest motorem rozwoju całego miasta i regionu.

Plan budowy ścieżki rowerowej bardzo dobrze wpisuje się w program Mai Włoszczowskiej – wicemistrzyni olimpijskiej w kolarstwie górskim. Maja Włoszczowska w „Rowerowniku", dodatku do „Gazety Wyborczej" – ukazuje piękno Dolnego Śląska, oglądane z wysokości siodełka roweru.

Bardzo dobra wiadomość nadeszła następnego dnia po spotkaniu Zarządu Powiatu Złotoryjskiego. Zarząd podjął uchwałę o wystąpieniu do Agencji Nieruchomości Rolnych w Legnicy o przekazanie pasa terenu wzdłuż ulicy Krzywoustego (od Wilczej Góry). Jeśli sprawy formalne uda się załatwić szybko, to pierwszy odcinek ścieżki rowerowej może powstać jeszcze w tym roku! I to jest bardzo dobra wiadomość! A jeszcze ważniejsze jest to, że jeśli uda nam się we wspólnym, obywatelskim działaniu, we współpracy z samorządami i społecznościami zakładów pracy zrealizować projekt, to możliwość podejmowania dobrych, nawet trudniejszych zadań, wcale nas nie przestraszy. Powiat, samorząd, obywatel – scementują się na bazaltowej ścieżce rowerowej!

Na dziś jest jednak przed nami jeszcze wiele trudnej pracy. Prosimy wszystkich: samorządy, zakłady pracy, mieszkańców o pomoc w realizacji projektu ścieżki rowerowej.

Magdalena Przydryga

PS. Pomysłodawcą oraz „motorniczym", a zarazem szefem „rady nadzorczej" obecnego, a pewnie i kolejnego etapu prac nad ścieżką (takie „3 w jednym"), jest prezes TMZZ – Aleksander Borys.

II Złotoryjska Pielgrzymka Drogą św. Jakuba

Spotykamy się w dniu **25. lipca 2009 r.** o godz. 8.50 przed kościołem św. Antoniego w Jerzmanicach Zdroju. Rozpoczynamy mszą św. o godz. 9.00. Następnie przejdziemy pieszo Drogą św. Jakuba z Jerzmanic Zdroju przez Pielgrzymkę i Twardocice do Rochowa. Tutaj (przy krzyżu pokutnym i w pobliżu granicy powiatu) opuścimy Drogę i przez Świątek oraz Złotoryjski Las dojdziemy do Choińca skąd prywatnymi środkami transportu lub autobusem zamówionym przez TMZZ wrócimy ok. 15.00 do Złotoryi.

Bardzo prosimy o telefoniczne zgłoszenie swojego udziału do dnia 10. lipca – Roman Gorzkowski 0661743992, 076 8784672.

Zachęcamy do uprzedniej lektury artykułów n/t Drogi św. Jakuba i Złotoryjskiego Lasu w „Echu Złotoryi" z marca, sierpnia i grudnia 2008 r. oraz maja i czerwca 2009 r.

Serdecznie zapraszamy!

Zagłębie kamiennych krzyży

Dzisiaj w Złotoryjskim Lesie

fot. Robert Pawłowski

Od 2006 r. w Złotoryjskim Lesie a dokładniej na szczycie Wielkiego Wójcika (331 m npm.) stoi nowa wieża obserwacyjna, służąca leśnikom. Kierując się w jej stronę – a widoczna jest już z najbliższych okolic Złotoryi – nieomylnie trafimy do Choińca i „naszego" kompleksu leśnego.

Ze szczytu wieży, czyli z wysokości 33 metrów, świetnie widać cały Złotoryjski Las. Obecnie obejmuje on około 1100 hektarów, podlegając leśnictwu w Czaplach i Nadleśnictwu w Lwówku Śląskim, choć leży w granicach powiatu złotoryjskiego. Dzisiaj nie da się odnaleźć śladów dawnych granic lasu, tych wytyczanych w XIV wieku lub później. Być może ich pozostałościami jest część z kilkuset kamieni z wyrytymi „koniczynkami", na jakie można natrafić tutaj w każdym niemal zakątku, lub zarysy rowów. Teraz Złotoryjski Las nie wytyczają żadne nowe granice.

Wspominając o tych „granicznych" elementach trzeba wskazać na kamienną kolumnę, stojącą niegdyś na granicy powiatu złotoryjskiego i lwóweckiego. W 2006 r. Henryk Kopciewicz (zmarły w 2008 r.) zwrócił uwagę starostwu złotoryjskiemu na leżący w lesie zapomniany i uszkodzony ten monument z piaskowca. Rekonstrukcji podjął się Marian Sroka z Kopalni Piaskowca w Bolesławcu a prace nadzorował z ramienia Starosty Krzysztof Maciejak. Jeszcze w tym samym roku odnowioną kolumnę postawiono w Choińcu na parkingu na wysokości Góry Kaplicznej (nie sposób obejść się bez mapy – pojęcia geograficzne czerpiemy z polecanej w poprzednim Echu mapy powiatu złotoryjskiego). Na tym samym parkingu przystanąć warto pod tablicą informującą o lasach lwóweckiego nadleśnictwa.

fot. Józef Banaszek

Nie ma tutaj drzew-pomników przyrody. Z mieszanego drzewostanu najgrubsze są buki. Trwają systematyczne zadrzewiania w kierunku dalszego rozwoju lasu mieszanego. Równocześnie walczy się np. z kornikiem drukarzem, niszczącym głównie świerki. O tym, że Złotoryjski Las cieszy się należytą opieką świadczą np. pułapki feromonowe, wyłapujące szkodniki. Tutaj spotkamy również karmniki i ambony, pozostające w gestii Koła Łowieckiego „Cyranka". Przy zachodnim skraju lasu „Cyranka" umieściła pamiątkowy kamień w 40-lecie swej działalności. Od września do połowy stycznia trwa okres zbiorowych polowań myśliwych, głównie na jelenie, sarny i dziki. Oprócz tych zwierząt, spotkać tutaj można zające, borsuki, lisy, jenoty, wiewiórki, kuny, tchórze i łasice, a z ptaków m.in. słonki, bażanty, kuropatwy, przepiórki, jastrzębie, myszołowy, sowy i puszczyki. Powszechne są mrówki a groźne dla turystów bądź spacerowiczów kleszcze i żmije. Przyrodnicy nie zakwalifikowali tego terenu do obszarów zaliczanych do Natury 2000. W różnych miejscach spotkać można jednak ciekawsze rośliny, np. skalnicę w okolicach Świątka. Las przyciąga licznych zbieraczy jagód i grzybów.

Na szczęście Złotoryjski Las nie słynie już z mrożących krew w żyłach wydarzeń (patrz artykuł w poprzednim Echu). Jedynie w 2003 r., po postrzeleniu na złotoryjskim rynku mężczyzny handlującego walutą, sprawcy tego przestępstwa porzucili samochód z ranną ofiarą w rejonie Choińca.

fot. Robert Pawłowski

Na co dzień naruszają prawo złodzieje drewna i osoby próbujące w lesie wyrzucać śmieci.

Pieszym turystom i pielgrzymom coraz bardziej znana jest Droga św. Jakuba, zahaczająca od południa o Złotoryjski Las. W pobliżu Świątka opuszcza ona teren powiatu złotoryjskiego. Sam Świątek (330 m npm) to ciekawy dawny bazaltowy stożek wulkaniczny, porośnięty dzisiaj lasem. Z jego wierzchołka rozciąga się szeroka panorama. Jego nazwa (niegdyś m.in. Heiligenberg) nawiązuje do starej legendy, według której istniała tutaj kaplica (lub kościół) odwiedzana przez pielgrzymów podążających z Pielgrzymki lub Rochowa. Ci ostatni podobno podchodzili na szczyt na kolanach. Pod Świątkiem wytyczono pieszy zielony szlak turystyczny, który potem na północ od Choińca przebiega niedaleko piaskowcowych Cygańskich Skał i wyrobisk starych kamieniołomów.

Już jednak najwyższy czas nawiązać do tytułu niniejszego szkicu. Nie ma chyba drugiego takiego zakątka powiatu złotoryjskiego, gdzie można spotkać aż sześć zabytkowych kamiennych krzyży. Być może nie wszystkie z nich zaliczyć można do typowych krzyży pokutnych (nie wdajemy się tutaj w analizy fachowców). Pierwszy z nich (posuwając się od południa) znajduje się przy wspomnianej Drodze św. Jakuba, niedaleko Świątka. Napis na krzyżu dotyczy przejechania wozem w 1775 r. jednego z dzieci rodziny Ottendorfów. Dwa kolejne stoją w pobliżu szlaku zielonego lecz nie przy nim i dlatego wielu turystów tam nie trafia. Jeden z nich pozbawiony jest napisu, za to na drugim odczytać

fot. Robert Pawłowski

jeszcze można inskrypcje informującą o zastrzeleniu w tym miejscu w 1760 r. osiemnastoletniego chłopca „przez złego pana". Niedaleko szosy, przecinającej Choiniec, znajduje się czwarty z krzyży a dwa ostatnie spotkać można na terenie Jasionka, na szczęście przy niebieskim szlaku turystycznym. Te ostatnie to raczej typowe krzyże pokutne, stawiane przez przestępców na miejscach zbrodni.

Całkiem niedawno narodził się w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej pomysł wytyczenia Ścieżki Historyczno-Przyrodniczej *Szlakiem kamiennych krzyży* (nazwa robocza), która połączyłaby wymienione zabytki a także ukazała walory przyrodnicze i krajobrazowe tego obszaru. Nasza ideą zamierzamy jak najszybciej „zarazić" przede wszystkim lwóweckie nadleśnictwo, w którym upatrujemy wykonawcę odpowiednich tablic (analogicznie do Ścieżki *Żelazny Krzyż*, wytyczonej przez Nadleśnictwo Złotoryja w pobliżu Wilkowa).

Złotoryjski Las dwukrotnie przyciągnął niedawno członków Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego. Im zawdzięczamy większość ilustracji w niniejszym artykule. Za przychylność i pomoc w penetrowaniu Złotoryjskiego Lasu

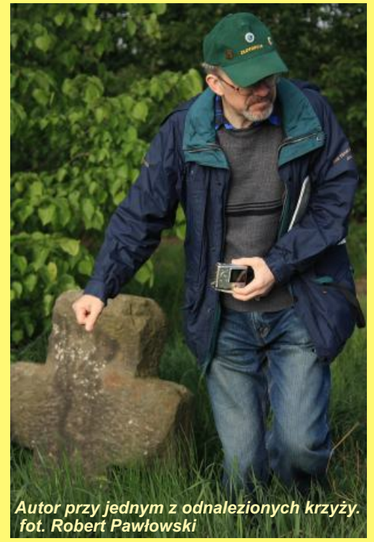
Autor przy jednym z odnalezionych krzyży. fot. Robert Pawłowski

serdecznie dziękujemy Panu Wojciechowi Grzywie, leśniczemu w Czaplach. Jak nam wiadomo, klubowicze zamierzają znów wybrać się w okolice Choińca, tym razem na „bezkrwawe łowy".

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

Źródełka żywej wody!

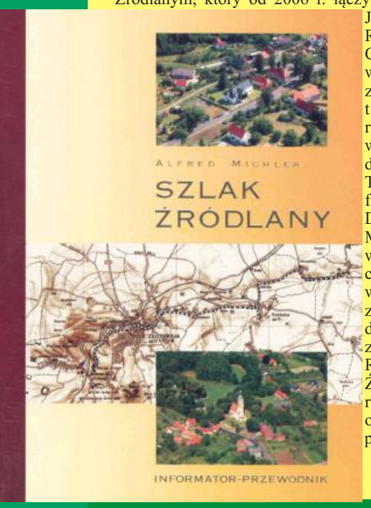

Urząd Gminy w Złotoryi wydał przewodnik po Szlaku Źródlanym, który od 2006 r. łączy źródełka św. Jadwigi w Jerzmanicach Zdroju, Rokitnicy i Rzymówce. Czytelnik, zamierzając wyruszyć na szlak, znajdzie w publikacji nie tylko jego opis, ale również informacje o ważniejszych faktach z dziejów miejscowości. Treść wzbogacają fotografie oraz mapki. Dzięki pomysłowi Alfreda Michlera (autora tekstu) wspomniane miejsca cieszą się opieką, choć wymaga jej najbardziej zapewne ocienione drzewami źródełko pod zamkowym wzgórzem w Rokitnicy. Szlakiem Źródlanym przebiegają rajdy rowerowe, organizowane corocznie przez TMZZ.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Jerzmanic nigdy za wiele

Niejako w nawiązaniu do artykułów o tej miejscowości („Echo" z lutego i marca b.r.) oraz do omawianej po sąsiedzku publikacji, zachęcamy do analizy barwnej widokówki, która ukazała się około 1920 roku. Warto spróbować nie tylko znaleźć miejsce, z którego zrobiono zdjęcie, ale porównać uwiecznione obiekty. Nieco inaczej niż dzisiaj wyglądała np. stacja kolejowa z 1895 r. a większy z mostów kolejowych w kierunku Lwówka ledwo się dziś trzyma. Bardzo tajemniczo i ciekawie jawią się na widokówce Krucze Skały, pod którymi znajduje się Źródełko św. Jadwigi (zwane także Skalnym). Czy ktoś może wie, gdzie można nabyć widokówki z dzisiejszymi fotografiami Jerzmanic Zdroju?

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Okrągła rocznica

Tym razem nie jedna, lecz dwie fotografie, które wykonał Krzysztof Maciejak … no właśnie – kiedy i w jakich okolicznościach? Bardzo liczymy na to, że rozpoznają się osoby, które np. wznoszą ręce w geście zwycięstwa lub znajdowały się „w centrum" tych wydarzeń. Chętnie opublikujemy ich wspomnienia. Kto jeszcze, oprócz zapewne odpowiednich służb, robił zdjęcia w tamtych dniach?

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złączных hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

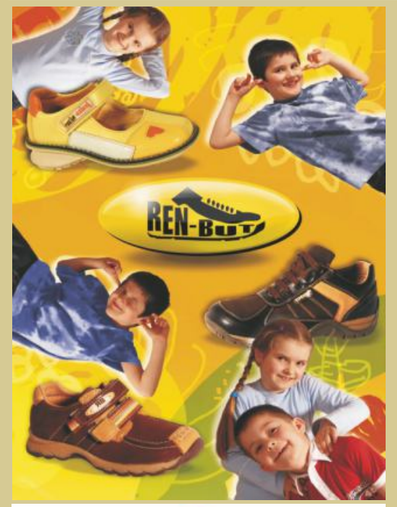

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

VITBIS

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

grysy bazaltowe

- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

STONESPOL

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA

Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

ISSN 1897-4023